

Gomulicki Wiktor SOLDAT

Troje dzieci bawiło się w ogrodzie: dwóch chłopczyków, jedna dziewczynka. Dzieci były rodzeństwem. Dzielila je mała różnica wieku. Razem nie miały całych lat trzydziestu.

Ogród był zwykłym ogrodem miasteczkowym. Zrobiono go z połowy obszernego podwórza. Od ulicy miał stary, wysoki parkan, pełen szpar, z deskami poczerniałymi, po których rozłaziły się mchy siwe, zielonawe i rdzawożółte. Po przeciwnej stronie ogrodu górne deski parkanu były wyłamane. Odsłaniał się stamtąd widok rozległy i dość piękny.

Wyłom w parkanie łatwo było naprawić; jednak mijały tygodnie, a nikt o tym nie pomyślał. Był to taki czas, że nie zajmowano się wcale parkanami, ogrodami i mnóstwem innych rzeczy potocznych.

Miały stąd korzyść dzieci, które przez ów otwór obejmowały wzrokiem kawał świata — wydający im się często całym światem.

Zaraz za parkanem biegła wąska, niebrukowana, wielkimi łopianami zarosła uliczka. Za uliczką był pusty plac, rozzieleniony tu i owdzie płatami krótkiej, rzadkiej murawy. Na placu pasał się zwykle wielki wół, przywiązany grubym sznurem do wbitego na środku pała.

Dalej połyskiwały niebieskawe zagony kapusty, a zaraz za nimi płynęła leniwie odnoga rzeki.

Na rzece stał młyn. Stał, ale nie poruszał się. Młody młynarz jeszcze wczesną wiosną wywędrował, i wieści o nim nie było.

Był to taki czas, że wiele warsztatów, wiele gospodarstw i wiele pracowni ludzkiej myśli zatrzymywało się nagle w ruchu na kształt nienakreconych zegarków.

Po drugiej stronie rzeki rozkładały się wielką, szarozieloną płaszczyzną miejskie pastwiska. Barwnymi, niesymetrycznie rozrzuconymi plamami błyszcząły tam konie i krowy „łyków”. 'Gdy wiatr z tej strony zawiął, dochodziły do uszu dzieci ryki i rżenia, które w oddali nabierały nuty żalösnej.

Za pastwiskami stał las ciemny, przepaścisty, tajemniczy. W ten las najpilniej wpatrywały się dzieci. Czynili to również i starsi.

W tej chwili starszy z chłopców pracował nad przymocowaniem sznura od huśtawki do uschłego

drzewa wiśniowego. Drugi uganiał się za pszczołą, usiłując pochwycić ją z tyłu za skrzydełka. Dziewczynka, tuż przy parkanie od ulicy, robiła w ziemi patykami małe dołki i wsadzała w nie zerwane kwiatki oraz gałązki, urządzając „ogródek”. Od kilku miesięcy całe dnie upływały dzieciom na zabawie. Do książki nikt ich nie napędzał, jakoś i o nauce w owym czasie zapomniano.

Zresztą nie było komu uczyć. Pan Władysław, młody praktykant miernictwa, od którego dzieci lekcje brały, wyjechał zgoła niespodzianie.

Wyjeżdżając, do podróznego tłumoczek zabrał śliczną amarantową czapkę, którą mu panny na drogę uszyły.

Cicho było w całym miasteczku, cicho i w ogrodzie. Nagle wśród tej ciszy rozległ się głośny krzyk dziewczynki.

— Zerwała się z ziemi — w przerażeniu wielkim do braci przybiegła.

— Co to? co się stało? — spytali zaniepokojeni.

— Ktoś patrzy — wyjąkała.

— Kto? gdzie?...

— A... o... tam.

I wskazała paluszką na parkan.

Chłopcy rzucili się jak dwa koty.

Do parkanu była przytulona postać olbrzymia. Oczy, w otworze po wypadłym sęku umieszczone, przenikliwie rozglądały się po ogrodzie.

Młodszy chłopiec wyjrzał jedną szparą, potem drugą — i odsunął się pomieszany.

— Cóż to, Leszek, boisz się? — zadrwił starszy.

W odpowiedzi chłopczyna wyprężył drobne ciało, jak zabierający się do skoku sprężyk, i cienkim głosem zawołał:

— Panie żołnierz! proszę odejść!...

To nie żołnierz, to żołdat objaśnił starszy. I zaraz sam wykrzyknął, piskliwiej jeszcze:

Niech żołdat sobie idzie!

Leszek chciał okazać się jeszcze odważniejszym.

Wynoś się, żołdat! na cały głos zapiał. Wróciła też odwaga i dziewczynce, która zawołała rezolutnie:

Tu nie potrzeba żołdatów!

Ale olbrzymia postać nie ruszała się z miejsca, a oczy w otworze parkanu patrzyły coraz przenikliwiej i coraz straszniej.

Dzieciom przyszedł na myśl Wilk Żelazny z bajki, który „dziko spojiera i mówi: zjem was tera”. Zbiły się w gromadkę, jak wystraszone owce, i coraz głośniej wykrzykując, coraz dalej odsuwały się od parkanu.

Gdy znalazły się już za rozłożystym krzakiem bzu,

czupurny Leszek pochwyił grudkę zeschniętej ziemi z zagonu i rzucił ją w parkan.

Postać odlepiła się od desek — odeszła.

Dzieci przez całą resztę dnia mówiły o tym nadzwyczajnym zdarzeniu.

Opowiedziały też o nim matce (ojca od kilku tygodni w domu nie było), przy czym Leszek nie zaniechał przedstawić siebie za bohatera.

Matka okazała zaniepokojenie i ostrzegła dzieci, że w podobnych wypadkach najlepiej „udawać, że się nie widzi”...

Nazajutrz rodzeństwo zabawiało się, jak zwykle, w ogrodzie. Kazio, najstarszy z trojga, schwytał żywą szczypawkę i pokazywał ją Leszkowi, czyniąc uczone uwagi nad anatomią owada.

Przysłuchiwała się im i Jadzia. Dla bezpieczeństwa szczypawka przybita była szpilką do ławki.

Przy ławce skupili się wszyscy troje z rozszerzonymi od ciekawości oczami. Ale choć owad i jego haczykowate, do obcęgów podobne

szczypczyki mocno ich zajmowały, przynosili jednak chwilami wzrok ze szczypawki na parkan.

Wczorajsze zjawisko dotąd spokoju im nie dawało.

Tym razem jednak, choć sporo ludzi przechodziło ulicą, nikt nie zjawiał się przy parkanie.

Po chwili już ich szczypawka przestała zajmować. Puścili ją na wolność (ze szpilką tkwiącą w tułowiu) i siadłszy rzędem na ławce znów jęli rozprawiać o wczorajszym wypadku.

A ja wam mówię, że się zląkł! dowodził Leszek.

Jakem ja krzyknął: „Wynoś się!...”, zaraz od parkanu odstąpił twierdził stanowczo Kazio.

— A jak jemu oczy świecili się... ojej! — przypominała Jadzia.

Przy tym wszyscy troje, z wielkim rozmachem, bujali wiszącymi w powietrzu nogami.

— Wiecie co? Ja go się nic a nic nie bałem — odezwał się po chwili najstarszy.

— Ja tak samo. Wielka rzecz żołdat! —zawołał młodszy urągliwie.

— Niechby zaczął — to jakbym go chwycił...

— I ja bym mu dał radę, jak nic!

— Kpię sobie z żołdatów!

— Dla mnie taki żołdat tyle, co mucha! Dziewczynka milczała. Oczy jej na braci zwrócone
wyrażały uwielbienie.

W tej chwili w przeciwnej stronie ogrodu ozwał się szmer. Odwrócili się wszyscy szybko i — zdreślieli.

Przy rozwalonym do połowy parkanie stał wczorajszy żołnierz. Mieli wielką chęć uciec, coś im jednak władzę w nogach odjęło. Jak urzeknięci siedzieli w miejscu, wpatrując się wyteżonym wzrokiem w zjawisko. A zjawisko takimże wzrokiem w nich się wpatrywało. Pierwsza Jadzia zesunęła się jakoś z ławki i za drzewem ukryła. Poszedł wkrótce za jej przykładem Kazio. Leszek ostatni opuścił stanowisko. Drzewo miało gałęzie nisko opuszczone. Zasłaniając patrzących, nie zakrywało im widoku. Dzieci mogły stosować się ściśle do rady matczynej: udawać, że nic nie widzą, a jednak widzieć. Żołnierz, wychylony do połowy spoza parkanu, wydał się im olbrzymem. Miał ramiona niezmiernie szerokie, twarz wielką, okrągłą. Pod czapką bez daszka twarz wydawała się tym większą i tym okrągłęjszą.

Oczy, głęboko osadzone, patrzyły i teraz tak przenikliwie, że dzieciom, nawet w ukryciu, słabo się robiło.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli.

Nagle żołnierz zanucił, rękę po sam łokieć w bezdennej kieszeni zanurzył i wyciągnął krótką, drewnianą fajeczkę. Tuż przy parkanie stał chlewek, którego szpary były pozatykane grochowinami. Żołnierz wyskubał trochę suchych liści, roztarł je między szerokimi dłońmi i tym prochem nabił fajeczkę. Potem, przy pomocy krzesiwka i hubki, zapalił ją i otoczył się dymem niebieskim.

Palił i przyśpiewywał głosem ciekim, dziwnym przy jego olbrzymiej postaci.

Paląc i przyśpiewując wodził oczyma wysoko po wierzchołkach drzew, po kominach, po chmurach, które na letnim niebie stały nieruchomo...

Dzieci, widząc, że o nich zapomniano, wysunęły się z kryjówki. Kazio ujął Jadzię za prawą rękę,

Leszek za lewą i cała trójka, przytulona do siebie, z otwartego miejsca przyglądać się zaczęła „sołdatowi”.

On skończył fajkę i na dzieci spojrzął. Ale spojrzął tym razem tak jakoś dziwnie, że nie poczuły żadnej ochoty do ucieczki. Wytrząsnął z fajki popiół, do kieszeni ją schował. Zaraz potem z tejże kieszeni wy dostał trzy małe, żółte, dziwnego kształtu przedmioty; Dwa ujął w lewą rękę, trzeci w prawą i zwrócony do dzieci, począł owe przedmioty podnosić i zniżać, przysuwać do siebie i oddalać zupełnie jak lalki w jasełkach.

Dzieci ledwie mogły ustać na miejscu, tak były widowiskiem zaciekawione.

Dostrzegł to żołnierz. Przez parkan przechylił się i zawołał:
Ej! mileńkie wy moje!...

. Było to tylko powiedziane, zabrzmiało jednak jak śpiew. Nuta śpiewu wydała się dzieciom miłą, ton — słodkim i pociągającym. Uczuły, że trwoga poczyna ustępować im z duszy.

— Mileńkie, przemileńkie! — śpiewał dalej olbrzym. — Nie bójcie się wy żołdata. Sołdat nie wilk, nie ukąsi...

Zupełnie już się nie bały i tylko dla honoru nie porzucały stanowiska obronnego.

On jeszcze próbował przyzywać je śpiewnymi słowami, widząc jednak, że trwają w uporze, złożył swe żółte laleczki na słupie i odszedł krokiem powolnym.

Dzieci przeprowadzały go długo oczami. Gdy zniknął za kuźnią, w odległości kilkuset kroków, rzuciły się do słupa. Leżały tam trzy pierniki barwy jasnożółtej, czerwoną farbą pomalowane, mające przedstawiać panów i panie trzymających się pod boki.

Każde chwyciło jeden piernik, po czym wszystkie swój łup w tryumfie do matki zaniósły.

Matka przykazała najsurowiej, aby gdy tylko ów żołnierz się pokaże, pierniki zostały mu natychmiast zwrócone.

Jak doszło do tego, że w tydzień potem „sołdat” nie stał już za parkanem, lecz siedział na nim, z nogami zwróconymi do ogrodu, dzieci zaś stały tuż przy nim w pozycji zupełnie przyjacielskiej?

Prawda, że żołnierz trzymał w ręku kawałek miękkiego drewna, z którego nożykiem wspaniałego konia wyrzynał, lecz dlaczego dzieciom wolno było pozostać z nim w takiej zażyłości?

Jak się zdaje, wpłynęły na to dwa głównie powody: dobroć i taniość „sołdackiego” chleba oraz lenistwo Marcysi, służącej do wszystkiego.

Żołnierz zjawił się pewnego dnia z wielkim jak koło od wozu bochnem razowca, na którym wypisana była kredą jego waga. Za pośrednictwem dzieci ofiarował sprzedaż tego bochna pani Zrzelskiej, ich matce.

Oszczędna Zrzelska, skombinowawszy wagę chleba z żadaną ceną, uznała interes za korzystny dla siebie i żołnierza przywołała do kuchni.

Na widok wchodzącego Marcysia, która w pocie czoła czyściła wielki samowar, wybuchnęła dziwnym śmiechem. Zarzuciwszy też zaraz chustkę na głowę i gołe ramiona, wybiegła z pośpiechem za drzwi.

Żołnierz powiódł za nią oczami i — żałośnie westchnął.

Targu prędko dobito. Gdy Zrzelska przy zapłacie chciała jeszcze grosz czy dwa grosze ująć, żołnierz rzekł głosem śpiewającym:

— Nie targujcie się, barynia. Na przykładku pannie Marcysi samowarczyk pięknie oczyszczę. A

chleb pozywajcie zdrowo i wy, i rebiatuszki...

Chleb da woda Mołodieckaja jeda!

Jakoż zabrał się wkrótce do samowara i w kilka minut nadał mu połysk nadzwyczajny.

Dzieci, choć już z dawnej trwogi ochłoneły, nie śmiały zbliżyć się do „sołdata”. Stojąc jednak u progu, przez cały czas oka zeń nie spuszczały.

Dopiero po odejściu żołnierza zjawiała się z powrotem Marcysia. Na widok samowaru udała zagniewaną.

Patrzcie go! rzekła. Co jemu wścibiać nos w cudze samowary.

Pilnowałby lepiej swego kociołka i kapusty z sadłem!

Znać jednak było, że ją cieszy wyręczenie w robocie;

— Znasz go? — spytała Zrzelska.

— Co nie mam znać! Toć włości się ciągiem za mną po przywódziu, jak ten komar za muchą.

— Jaki komar? za jaką muchą? — zakrzyczały rozciekawione dzieci. — To musi być bajka! Opowiedz nam ją, moja złota!

— Co za bajka? Nie żadna bajka, jeno śpiwka. I zaśpiewała fałszywie:

Poszła mucha po wodę, po wodę

Z dużymi wiadrami; Komar za nią, komar za nią

Z długimi nogami. Poszła mucha po wodę, po wodę

Do zimnego źródła, Komar za nią, komar za nią —

Nie dał jej spokoju.

Nazajutrz przy parkanie odbyła się nowa scena kuszenia. Żołnierz przyniósł małą, czerwonym papierem oklejoną harmonijkę i wygrywać na niej zaczął. Wygrywał na przemian skocznie i żałośnie.

Któreż dzieci nie lubią muzyki! Kaziowi i Leszkowi podrygiwały nogi do taktu „dumkom”, „szumkom” i „byczkom”; wreszcie nie mogli wytrzymać i razem z Jadzią tańczyć zaczęli na ścieżce.

Żołnierz aż się zanosił od śmiechu.

Ach ty, Boże mój! po swojemu zaciągał. Ach, wy, mileńkie! Ach, pociecha! Ot wam jeszcze raz! I jeszcze raz! Dusze wy moje!

Sojusz ostatecznie został zawarty. Tegoż jeszcze dnia dzieci weszły w bliższą zażyłość z uniformem żołdackim, który zaciekawiał je w wyższym jeszcze stopniu niż sam sółdat.

Czapka bez daszka była przymierzana kolejno przez całą trójkę; policzono wszystkie guziki u mundura; został wreszcie wyciągnięty z pochwy krótki, szeroki „tasak”, którego ostrość wypróbowali chłopcy na deskach parkanu.

Odtąd nie było prawie dnia, aby sółdat nie potrafił przysłużyć się czymś małym Zrzelskim, ich matce lub Marcysi.

Wyrzynanie koni z drzewa należało do talentów, którymi dzieci w podziw wprawiał i zniewalał sobie. Na nieszczęście te konie bywały stale oszpecane pewnym szczególnym dodatkiem. W miejscu zajmowanym zwykle przez jeźdźca żołnierz pozostawiał spory kawałek nieobrobionego drewna.

Gdy dzieci prosiły, aby wyrznął jeźdźca, odpowiadał z powagą:

— Nie, nie można. To już drugie zrobią.

Żołnierz pochodził z wioski, której mieszkańcy zajmowali się zimą wyrabianiem zabawek. Aby robota

szła prędzej, każdy wprawiał się w jedną tylko specjalność; ten, kto wyrzynał konie, nie brał się nigdy do jeźdźców; i odwrotnie.

Po dłuższej nieobecności Zrzelski powrócił do domu.

Był to człowiek w średnich latach, gadatliwy, usposobienia żywego. Z widoczną trudnością przychodziło mu trzymać na wodzy słowa i być spokojnym a ostrożnym; tego zaś najbardziej warunki chwili wymagały. Zrzelski nosił włosy długie, z tyłu podwinięte, jak Garibaldi, wąsom zaś swym i brodzie starał się nadawać kształt wąsów i brody Wiktora Emanuela. Czynie to wówczas wszyscy rozumie się ci, co czynić to mogli.

Powrócił tajemniczy i roztargniony i zaraz po przywitaniu się z rodziną wybiegł na miasto. Miał tam widać wiele spraw do załatwienia, bo nawet

obiad zjadł w cukierni. Przebywała tam zresztą podówczas po całych dniach cała męska ludność miasteczka.

Dzieci jak zwykle, pozostawione sobie, poszły bawić się do ogrodu.

Niebawem zjawił się i „sółdat”.

Tego dnia oddał się całkowicie na usługi Marcysi. Powynosił z kuchni, co tylko tam było mosiężnego i miedzianego, i przygotował wielki zapas tłuczonej mialko cegły, rozłożył się z całym taborem na trawniku przed uschłą wiśnią. Zdjął szynel, na drzewie go powiesił — potem w samej koszuli, koloru lila, zabrał się energicznie do pracy.

Po obiedzie wrócił Zrzelski. Zapytał, gdzie dzieci, a usłyszawszy, że w ogrodzie, zbliżył się do okna, aby je zawołać.

Zaledwie wyjrzał, czoło zmarszczyło mu się straszliwie — od okna odskoczył...

A ten co tu robi? mruknął gniewnie, zaciskając zęby i z wysiłkiem głos tłumiąc.

To dobry człowiek — odpowiedziała Zrzelska. Pomoc mam z niego. Czyści naczynia, wodę nosi, dzieci zabawia.

Takich tu nie trzeba! Do zabawiania dzieci jest kto inny. Jak mogłaś przypuścić sółdata do poufałości?

Nie unoś się, mój drogi. Wierz mi, że nie stanie się dzieciom żadna krzywda. Nie wpuściłam go do domu od razu, ale przekonałam się, że to prosta, szczerą, poczciwą naturą.

Dla mnie dość, że...

Uspokój się. Trzeba mieć trochę wyrozumiałości; trzeba w każdym oceniać przede wszystkim człowieka...

— Babska polityka! — wybuchnął Zrzelski. — Układną miną, pochlebstwem nawet diabeł przeciągnie was na swoją stronę. Ale baby tu nie rządzą i — ten tam nawet minuty dłużej tu nie będzie. Nie panując już nad sobą, skoczył do otwartego okna, aby rzucić rozkaz porywczy.

W tejże chwili rozległy się w ogrodzie krzyki. Zrzelski spojrzał i — skamieniał.

Przed oczami jego z błyskawiczną szybkością rozegrała się scena wstrząsająca.

Do ogrodu przez wyłom w parkanie wpadł wół i z nastawionymi rogami pędził prosto na dzieci.

Zanim jednak dobiegł, żołnierz zdążył swój szynel chwycić i na łeb mu zarzucić. Jednocześnie sam do niego poskoczył. Rozjuszony zwierzę zatrzymało się na chwilę w miejscu — wówczas on porwał je za rogi, potężny łeb do ziemi przygiął i krzyknął na dzieci, aby uciekały.

Straszna była walka człowieka ze zwierzęciem. Tylko taki olbrzym mógł być wyjść z niej zwycięsko.

Prawie siny z wysiłku, strumieniami potu ociekający, dotrzymał zwierza do chwili, aż nadbiegł jego właściciel z parobkiem. Omotano wołowi nogi sznurem i na ziemię go powalono.

Zrzelski wypadł jak piorun do ogrodu, chwycił w objęcia wylekłe dzieci, pocałunkami okrywać je zaczął.

Zwrócił się potem do żołnierza, który stał na stronie ciężko dysząc, pobladły nagle i zupełnie wyczerpany, z obwisłymi bezwładnie rękoma.

Zdawało się przez chwilę, że i jego również w objęcia pochwyci.

Opamiętał się jednak i tylko dłoń olbrzyma w obie ręce ująwszy silnie nią potrząsnął...

Bóg ci zapłać, dobry człowieku! Bóg ci zapłać!

wybiegło mu z trudnością ze ściśnionego wzruszeniem gardła.

Gdy to mówił, miał oczy pełne łez. Nie pozwolił jednak ani jednej łzie spłynąć po twarzy.

W kwadrans potem Zrzelski siedział przy stole, na którym znajdowała się wódka, przekąska i cygar pudełko.

Blisko drzwi stał wyprostowany żołnierz.

— No, ziemiak — mówił Zrzelski, nalewając duży kielich po brzegi — wypij.

Żołnierz skłonił się w milczeniu, lecz po wódkę nie sięgnął. — Czemu nie bierzesz? — nalegał Zrzelski.

— Pozwólcie, baryń. Ja niepijący.

— Ot, nowość! I dlaczego?

— Czorta budzić nie trzeba.

Podniósł łokieć do wysokości ust, jakby z ręki czynił barykadę.

Zrzelski głową pokręcił.

A ot ciągnął żołnierz czaju to by się napił. I kiełbasy zjadłby, jeśli pozwolicie.

Zrzelski zawołał o samowar, który zaraz też wniesiono, był już bowiem przygotowany do wieczornej herbaty.

Po chwili żołnierz trzymał w lewej ręce wylany na głęboką miseczkę wrzątek, w prawej kawałek cukru, którego odrobinę ukruszał zębami przed każdym łykiem.

Usiąść, mimo nalegań, nie chciał.

Jakże cię zowią? spytał Zrzelski, wysuwając na brzeg stołu talerz z kiełbasą i bochenek chleba.

Fiedor Nikiforowicz wygłosił żołnierz uroczy

ście, jakby wielką wagę do imienia swego przywiązywał.

— A nazwisko?

— Żelieznyj — brzmiała odpowiedź jeszcze uroczystsza.

— To niby toż samo co Żelazny?

— Może być i tak.

— Słuchaj, Fiedor — mówił Zrzelski, nalewając żołnierzowi drugą filiżankę herbaty — ty mi się wydajesz dobrym człowiekiem...

— Tak, ja dobry człowiek — potwierdził tamten. Było w tej odpowiedzi tyle prostoty i ujmującej

szczerości, że mimo woli szacunek budziła.

— A jednak — ciągnął Zrzelski, krając kielbasę — nieraz już pewnie do ludzi strzelałeś?

— Jeden raz — po komendzie.

— I zabiłeś?

— Pticu.

Jak to?

Fiedor postawił miseczkę na stole, pokłonił się, usta rękawem otarł. Znów się pokłonił, wziął kawał kiełbasy z chlebem i wrócił na dawne miejsce.

A ot, jak rzekł, kawał wędliny przełknąwszy. Celujesz ty, bracie mój, dołem, a wystrzeli się tobie w górę. A w górze, wiadomo, pticy latają. Por padnie która pod kulę, tak i trup z niej.

Znów zabrał się uroczyście do kiełbasy.

A cygarko, ziemiak, zakurzysz? spytał po skończonej przekąsce Zrzelski, przybierając, dla przypodobania się gościowi, jego ton i formy mówienia.

Jak nie zakurzyć! rzekł żołnierz, zbliżając się do stołu.

Zanim sięgnął do pudełka, zapytał jeszcze;

Pozwolicie, baryń, dwa?

— Weź dwa.

Fiedor pokłonił się i wyjął pokornie z pudełka dwa cygara.

— Drugie nie dla mnie — rzekł, usprawiedliwiając się.

— Dla kogóż?

— Dla Wasi.

— Któż to Wasia?

— Kto Wasia? — zaśpiewał przeciągle żołnierz, zdziwiony zapytaniem.

— Iwan Pantielejewicz, mój rodny.

Zawinał jedno z cygar w papier i wsunął ostrożnie za cholewę.

— Ty wszakże Nikiforowicz?... — zauważył Zrzelski.

— Tak, a on Pantielejewicz. Znaczy, niejeden u nas ojciec. Ale matka jedna. Wasia młodszy. Ze wszystkim młody. Prosto powiedzieć: ditiatko.

Gdzież ten Wasia?

W gusarach służy. Gdzież jemu i służyć, jak nie w gusarach. Krasawiec taki. Generał jego lubi i przy sobie trzyma. Mówią, że w pisary pójdzie. Człowiek z niego może być ważny.

Kochasz brata?

Na twarzy Fiedora znów się odmalowało zdziwienie. Ręka jego, niosąca kiełbasę, zatrzymała się w powietrzu; usta otworem stanęły.

Pomiłujcie! zaśpiewał, O cóż tu i pytać? On u mnie prosto angieł. Oczy jego, z natury pochmurne, zabłysnęły i poweselały; rażąco niskie czoło stało się wyższym i pogodniejszym; cała twarz rozjaśniła się, jakby słońce na nią padło. O kiełbasie zapomniał.

Ach, wy, baryń mój! Warn nie znać, co u Fiedora na sercu. Cóżja? Prosty żołdat i człowiek prosty. Krugłe my sieroty: i ja, i Wasia mój, Choroba taka

była, cholera znaczy, wszystkich nam zabrała. A matka, umierając, mówi: „Dla Wasi ty bądź brat, bądź ojciec i matuszka rodnaja.” Tak ono i jest. Chował ja jego i uczył, pracował dla mileńkiego. Krasawiec dziś z Wasi, maładiec! Zeszliśmy się tu u was, sława Bohu za to. Nie widzę ja Wasi, dusza jestem bez ciała; patrzę na mołodca, tak i płakałby od uwieselenia. Gołubczyk on mój! ditiatko moje!

Zrzelski rozstał się z Fiedorem prawie po przyjacielsku. Czuł, że ten prostak wywraca do gruntu cały jeden szereg jego pojęć, z pozoru na granitowej podstawie oparty.

Przez długi czas chodził po pokoju, paląc w milczeniu cygaro, zapominając o żonie i dzieciach, zajęty jedną wyłącznie myślą, która mu w duszy coś na kształt buntu wznieciła.

Nagle stanął przy stole z miną taką, jakby znalazł rozwiązanie trudnego zagadnienia. Po nowe cygaro sięgając, mruknął:

Wyjątek... Wyjątki reguły nie zmieniają!
Znacznie gorzej szło Fiedorowi z Marcysią.

Ile razy poszła dziewczyna do rzeki, była pewna, że zastanie tam „sołdata”, który nie tylko napelni jej kubły wodą, ale jeszcze, przyczepiwszy je do ciężkich nosideł, sam, na własnych barkach, odniesie do domu. Powtarzało się to niekiedy dwa i trzy razy na dzień, przy czym żołnierz gadał zawsze jedno: że „włubił się na śmierć i życie w pannę Marcysię i że panna Marcysia powinna mieć nad nim jakiegokolwiek zmiłowanie”.

Ale dziewczyna wyśmiewała się głośno z jego czułych słów i z niego samego. Nie taką to drogą dobie

rano się zwykle do jej serca i względów. Proszący, pokorny zalotnik był w jej oczach niedołągą. Za nic też miała Fiedora; po prostu poniewierała nim.

Gdy obciążony wiadrami żołnierz wstępował na stromą ścieżkę wiodącą od rzeki ku miastu, Marcysia bawiła się popędzaniem go, bijąc pięściami po plecach i wykrzykując:

— Wio, konisko, wio!

Praczki, piorące w rzece bieliznę, i chłopcy, łowiący ryby, powtarzali za nią chórem:

— Wio!... a wio!...

— Byłby ja sapożnik — skarżył się czasem Fiedor — albo drugi frant, polubiłaby mnie panna Marcysia.

— Ma się wie! — odpowiadała dziewczyna, krzywiąc pogardliwie nos zadarty. — Co szewc, to nie sołdat. Szewc buciki naprawi, na harmonii zagra, poromansuje galancko, a w niedzielę wystroi się

jak hrabia i na spacer zaprowadzi.

Szewczulek kochany, Z tysiąca wybrany. Od serca odjęty, Do boku
przypięty.

Wówczas Fiedor, zapominając na chwilę o właściwej sobie skromności,
sam siebie wychwalać poczynął.

Nie frant ja z powagą mówił nie swistun. Człowiek ze mnie spokojny i
zdatny. Stolarem był, w kuźni kuł, ziemię pachał, koło krów chodził i koło
koni. Nie rozbójnik i niepijący.

Dziegciarz! rzuciła dziewczyna z pogardą.

Przez wisko odnosiło się do zwyczaju, jaki zachowywał Fiedor i jego
towarzysze. Nie było to wykwinne, ale było praktyczne. Dziegieć
zmiękczał i ochraniał skórę, czyniąc ją zarazem nieprzemakalną.

W miasteczku handel dziegiem odbywał się na wielką skalę. W wąskiej uliczce wiodącej do miasta, przed niskimi drewnianymi kramami, stały zawsze, wprost na bruku, wielkie maźnice napelnione dziegiem.

Przechodzący żołnierz zatrzymywał się i opierał nogę o przygotowany w tym celu kamień. Potem, wyciągnąwszy z maźnicy kwacz, omazywał cały but z cholewą tak suto, że smarowidło gęstymi kroplami na ziemię ściekało. Wywoławszy wreszcie z kramu Żydówkę, rzucał jej do nastawionego fartucha stałą zapłatę: grosz.

Dziegieć wydawany był á discretion, w przekonaniu, że nikt nie Użyje go nad osobistą potrzebę, to znaczy: nie wysmaruje nim włosów, nie zje ani do kieszeni nie schowa.

— Cóż dziegieć? — odrzekł poważnie Fiedor. — Dziegieć rzecz dobra i rzecz zdrowa: sapogi w porządku trzyma i choroby nie dopuści.

Pomyślał chwilę i dodał:

A nie chce panna Marcysia, tak mogę i nie smarować.

Eh! wszystko mi tam jedno. I tak, i tak będą z tego nici.

Co takiego? zaśpiewał Fiedor, nie rozumiejąc.

Ha, ha, ha! zaśmiała się służąca. „Powiedziała Klara, że z nas będzie para; powiedział Fryc, że nie będzie nic.”

wykręciwszy się, porzuciła zdumionego i rozzalonego zalotnika.

Niekiedy rozmowa przybierała formę poważniejszą. Bywało to, ile razy żołnierz wspomniał o ożenku. Najpuściejsze dziewczyny po

Ty by nie upierała się tak, miła moja! przemawiał Fiedor tonem czułym, ale cokolwiek energicz

niejszym. — A to barynią być możesz, pomieszczychą. U mnie jest w czernigowskiej guberni grunt po ojcu i domik jest swój własny. Domik on to jest stareńki, ale nie bój ty się, Marcysia. Żonka będzie, to i domik wystroi się rozkoszny. Kurycy u nas będą i pietuchy, a już jak gołubi zaczną tarabanić — prosto pociecha!

— Ty prawosławny — zauważyła w zadumie dziewczyna.

— Tak i cóż! Módl się ty do swojego Boha, ja będę do swojego. A w górze oni to już tam rozbiorą, który lepszy. Boh to jest i jeden, a w tym bieda, co ludzie nie jedni. Znaczy: jest naród dobry, jest i zły. Podleców to a rozbójników nie brakuje.

Obojgu przyszły na myśl dzieci, wstydlivość jednak właściwa stosunkowi „kawalera” do „panny” mówić o nich nie pozwoliła.

Marcysia po długiej zadumie, wypełnionej gryzieniem świętojańskiego chleba, odezwała się:

— Nie! nie! To do niczego niepodobne. A mnie po co na koniec świata jeździć? I tu męża dostanę.

Fiedor zamyślił się — znać było, że walkę z sobą toczy. Potem rzekł słodko, jak zwykle, ale głosem zboliałym:

Bóg z tobą, Marcysiu. Chcesz, to u was zostanę. Grunt sprzedam, domik sprzedam, wszystko sprzedam. Diengi wezmę, tak i kupię tu sobie sad jaki nie bądź albo łoszaki ze dwa, albo ławkę z miłoczem — co bądź popadnie. Człowiek ja zdatny, pracować potrafię. Boh da, chleba będzie dosyć.

Wystarczy dla nas i dla...

Zanim dokończył, już Marcysia, nie mogąca długo na miejscu usiedzieć, zerwała się z pogardliwym wykrzykiem:

Eh! Zawracanie i tyle!...

I chwyciwszy konewkę z wodą do domu pobiegła.

Dreńczyła go na różne sposoby.

Jednej niedzieli po południu, wiedząc, że ją samą w domu zastanie, przyszedł z harmonijką. Była nadąsana, skrzywiona — co on przypisywał serdecznemu zmartwieniu, a co pochodziło jedynie stąd, że szewc zrobił jej buciki ciasne. W dzień powszedni łatwo by sobie ulżyła chodząc boso; przy święcie za żadne skarby nie uczyniłaby tego.

Aby smutną rozweselić, opowiadał różne żołnierskie dykteryjki, grał na harmonijce, podrygiwał. Puścił się nawet w „prysiudy”. Ale ona przyjmowała to wszystko obojętnie, z pogardliwym skrzywieniem.

Wreszcie rzekł:

— Ej, Marcysia, gołubuszka ty moja! Cóż ja? człowiek ciężki, prosto miedwied'. Ty mnie zapiej,

mileńka. Po swojemu ty zapiej, słodko, znaczy... po duszy, po sercu zapiej!

Niby to nie chciała, niby to drożyła się w końcu zaśpiewała piskliwie:

Świeci księżyc, świeci Z tej strony ratusza;

Nie kochaj.....

Bo to podła dusza.

Bo to podła dusza, Bo to podłe plemię: Ja do niego mówię, A on patrzy w ziemię.

Ja do niego mówię, On patrzy w obłoki... Wyśmiałam się z durnia, Aż mnie bolą boki.

Fiedor słuchał, choć prawdę mówiąc nie wiedział: weselić się czy smucić.

Sposepniał w końcu i gdy

dziewczyna śpiewać przestała, ani słówkiem się nie odezwał.

Wkrótce potem wstał, harmonijkę do kieszeni schował.

— Nu, prosti, Marcysia — rzekł — Boh z tobą. Do Wasi ja pójdę, do rodneho. On u mnie angieł prawdziwy.

— Ale, ale! — zawołała żywo dziewczyna. — Czemu to Fiedor nigdy brata nie przyprowadzi? To chłopak jak malowanie!

— Da, da, „malowanje” — przytaknął żołnierz. — On, panno Marcysiu, człowiek ważny, w pisary idzie. Daj Boh, co by najprędzej. A to teraz w pułku służba nie družba.

— Z Wasią to byśmy się wesoło zabawili.

— A ja by jemu zaraz po swojemu:

Ej, Wasia, Wasia, Wasia, Wasia, Wasia, nie szumi!...

Raz jeszcze Bogiem pozdrowił Marcysię i wyszedł.

Pod wieczór pewnego dnia upalnego, gęste chmury zbierały się nad miasteczkiem. Zrzelski powrócił do domu silnie czymś wzruszony. Z żoną miał długą rozmowę na osobności, potem oboje zabrali się do wybierania i pakowania sprzętów kosztowniejszych. Napelnili kosz i tłumok podróżny: jedno i drugie znieśli sami do piwnicy.

Marcysię zapędzono do noszenia wody. Musiała napęłnić wielką beczkę stojącą w sieni. Przywołany ślusarz opatrzył pilnie zamki i rygle u wszystkich drzwi. Przygotowano też do nich z grubych dragów podpory.

Zrzelski, zapytywany o powód ostrożności, odpowiadał niechętnie:
— Co się dziwić! Złodziejów pełno, podpalaczy... Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Z nadejściem wieczoru niespokojność jego wzrosła. Herbaty nie mógł dopić ani cygara wypalić. Co chwila rzucał jedno i drugie — biegł do okna, to na podwórze.

Wpatrywał się i nasłuchiwał, choć ani oko, ani ucho nic nie mogły pochwycić w bezdennej ciemności, w ciszy niezgłębionej.

Tak głuchoj nocy dawno już nie pamiętano. Zdawało się, że przyroda zamarła, że ludzi i ich dzieła pochłonęła nicość.

Dzieci kładły się zwykle spać przed, dziesiątą. Tym razem, choć dziesiąta minęła, nie pomyślano o wysłaniu ich na spoczynek. Znużone drzemały po kątach, budząc się co chwila i szeroko oczy otwierając. Niepokój rodziców i ich dusze nurtował.

Okolo jedenastej głuchą ciszę przerwał dziwny szum, w górze. Był to jakby łopot miliona skrzydeł. Zdawało się, że ktoś spłoszył nagle stado orłów, które ociężałym lotem przeniosły się z jednej skały na drugą. Miedziane światło zamigotało u stropu nieba, odsłaniając na chwilę czarne, poszarpane, kłębiące się chmury. Wyglądały złowrogo. Widoczne było, że za nimi dzieje się coś strasznego.

Odtąd migotania i pomruki stały się częste. Rzecz okropna, długo w zaułkach nieba przygotowywana, przybierała kształty wyraźniejsze. Lada chwila objawić się miała w całej potędze i grozie.

Naraz otchłań zawrzała. Napełnił ją zgiełk przeciągły zgiełk ścierających się hufców wojennych. Już słyhać było poświsty wicherów; podobne do dysze

nia olbrzymich miechów kowalskich; już urywane pomruki zlały się w jeden potężny odgłos grzmotu; już wybuchy światła, na przemian oślepiająco białe i rude, poczęły następować po sobie tak często, że utworzyły jakby stałe oświetlenie obłocznej, wrzącej walką areny... A na ziemi wciąż trwała cisza.

Zdawało się, że sen ciężki, letargiczny, odrętwił całą ludność miasteczka, że ona straciła samopoczucie i instynkt zachowawczy — że nie otworzy oczu wówczas nawet, gdy zabłyśnie przed nią ostrze zbójckiego noża.

U Zrzelskich jednak nie spano.

Gdy wybiła jedenasta, Zrzelski drzwi domu zarygłował i drągami popodpierał. Następnie wszystkim domownikom przejść kazał do pokoju, gdzie na stoliku pod ścianą stał, zdjęty z gwoździa, obraz Częstochowskiej.

Lampę zgasił, do otwartego pieca wstawił zapaloną świecę. Blask przytłumiony padał wprost na

obraz.

Wszyscy klękli i jęli odmawiać półgłosem litanie.

Zrzelski wywoływał nieco mocniej: „Święta Mario! Święta Boża Rodzicielko! Święta Panno nad pannami!”, inni powtarzali przyciszonym chórem: „Módl się za nami!”

W chwili gdy pan domu drżącym od wzruszenia głosem wyrzekł: „Pocieszycielko strapionych!” niebieskawe, elektryczne światło na jedną sekundę oblało modlących się i zaraz potem okropny huk pioruna wstrząsnął domostwem.

Zadzwończyły szklane naczynia w szafie, zadzwoniła lampa i obraz święty. Następnie i w domu, i poza domem zapadło wszystko w głębszą jeszcze ciszę.

Wśród tej ciszy, daleko gdzieś, w stronie rzeki i la

su, rozległo się kilkakrotnie słabe puknięcie. Zdawało się, że to ktoś z biczem trzasnął albo z papierowej pukawki.

Na ten głos, dla innych zgoła obojętny, obojgu Zrzelskim łąy puściły się z oczu. Jednak litanii nie przerwali.

Po minucie może dały się słyszeć w tej samej stronie, ale znacznie już bliżej, inne, głośniejsze puknięcia. Potem — gdzieś bardzo daleko — zagrzmiął wyraźny już wystrzał.

„Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata!” — mówił łkając Zrzelski.

„Zmiłuj się nad nami!” — jęczały kobiety i dzieci.

Przeraźliwy szum rozległ się za oknami. Na czarnym niebie ognistą linię zakreśliła rakietka.

W tejże chwili w głuchym dotąd miasteczku zawrzała burza zmieszanych głosów. Ponowiły się wystrzały, tym razem bliskie i gęste. Odpowiedziała im z nieba kanonada grzmotów.

Trwało to dość długo, z rzadkimi przestankami. Podczas przestanków można było słyszeć jękliwy głos ratuszowego zegara, wybijającego z wolna północ.

W różnych punktach miasta ozwały się trąbki. Wprost domu Zrzelskich, w wielkim gmachu, zajmowanym przez generała, zabłysło we wszystkich oknach światło.

Nie odmawiano już litanii, nikt jednak z kolan nie wstawał. Świeca zgasła. Z zaostrzonym w ciemnościach wzrokiem i słuchem zwracali się wszyscy ku oknu.

Trąbienie, grzmoty, wystrzały, okrzyki, turkot kół, tętent kopyt mieszały się w chaotyczną, pełną grozy wrzawę.

Po pewnym czasie stało się jasnym, że z jeneralskiej kwatery wyjeżdża kalwakata, złożona z szeregu

wozów, wózków i karet, eskortowanych przez oddział kawalerii.

Wszystko to wyciągniętym klusem przetoczyło się i przedudniło ulicą poza ogrodem.

Wielki dom opustoszał; światła pogasły; mury zlały się w jedną masę z bezgraniczną falą mroku.

W oddaleniu głuchy turkot, od którego ziemia lekko drżała, oznajmiał o przetaczanych po nierównym bruku armatach.

Oddzielni jeźdźcy na ostro kutych, zdyszanych koniach w różnych kierunkach przebiegali miasto galopem.

Głos trąbek, warkot bębnow, turkot i tętent stopniowo oddalały się; wrzaskliwa komenda i parskanie spienionych koni coraz bliżej dawały się słyszeć. Wreszcie wrzawa, posuwając się ku zachodniej stronie miasta, prawie zupełnie przycichła.

Tymczasem od strony wschodniej głosy wystrzałów szły na miasto coraz śmielsze, bardziej prawidłowe, donioślejsze.

Pędziły przed sobą tamtą, zamierającą już, wrzawę pędziły huragan, który widocznie uchodził przed nimi odstrzeliwając się niekiedy piorunem, jak rejterująca kolumna.

Nareszcie i te głosy ścichły. Nastąpiła długa przerwa, wypełniona jedynie świstem wichru mocującego się z drewnianym domostwem.

Nagle zakołatał ktoś gwałtownie do drzwi od podwórza. Głos donośny zawołał:

Otwierajcie!.. Bóg wiara!..

Sen mara! odkrzyknął całą piersią Zrzelski i zrywając się na równe nogi pobiegł otwierać.

W jasno oświetlonym pokoju jadalnym, przy stole zastawionym przekąskami, otoczony całą rodziną Zrzelskiego siedział pan Władysław. Jadzię trzymał na jednym kolanie, Leszka na drugim. Stojący obok Kazio zabawiał się przymierzaniem jego amarantowej czapki.

Zrzelski gościowi dolewał wina. Zrzelska podsuwała talerze z jedzeniem. Oboje powtarzali nieustannie:

— A pijże, a jedzże, Władziu kochany! Wymizerowałeś się tam, biedaku! On z wilczym apetytem wszystko pochłaniał, a jedząc za trzech, opowiadał za dziesięciu. Wychudły, od słońca i wiatru prawie czarny, humor miał wyśmienity, fantazję ogromną.

Burza ucichła. Zrzedniałe, w strzępy porwane chmury poleciały na zachód. Nad miasteczkiem niebo wyjaśniło się, wypłynął księżyc, potrząsając srebrem domy, kamienie uliczne, drzewa, rzekę, łąkę i las milczący.

— A Stefa? Posłaliście po Stefę?..

Cyt... Stefa za chwilę tu będzie szepnęła Zrzelska. Wyprawiłam po nią Marcysię.

Zrzelski zauważył:

Przejdźmy gdzie indziej...
Dlaczego? Tu nam tak dobrze.
Ten pokój zanadto na widoku.
To i cóż? My tu dziś panowie.
Tak, dziś. A jutro?...
Tej nocy nikt nie spał w miasteczku. We wszystkich domach palono światło. Po ulicach snuły się gromadki ludzi, ubranych niezwykle, ściskając się, gwarząc, przyśpiewując.
U Zrzelskich tylko dzieci spać poszły. Starsi przenieśli się do ustronnej izby w głębi korytarza. Służyła

dawniej za spiżarnię; później urządzono w niej skład koszów, tłumoków i narzędzi mierniczych Zrzelskiego.

Izba miała jedno tylko, nieduże okno, umieszczone wysoko i zakratowane. Panował tu zawsze półmrok. Nawet w ciągu dnia chodzono do tej izby ze światłem.

Prócz Zrzelskich i Władysława znalazły się przy stole dwie kobiety: matka i córka. Matka była biednie ubrana, przedwcześnie zestarzała, ze stałym wyrazem smutku i przygnębienia w twarzy. Powieki miała czerwone, nie wiadomo: od bezsenności czy od płaczu. Córka przypominała świeżo rozkwitły fiołek, tak była świeża, powabna i skromna.

Obie wpatrywały się we Władysława — nie obie jednym wzrokiem. Wzrok panny, szatynki o szafirowych oczach, wyrażał bezgraniczną miłość, miłość „na życie i śmierć”.

Była narzeczoną tego dziwnego gościa, co się zjawiał w godzinie duchów,
przy świetle błyskawic,

przy muzyce trąbek, bębnów i wystrzałów.

Zaręczyny odbyły się przed sześciu miesiącami; kiedy jednak ślub się odbędzie?

Matka była wdową po nauczycielu, który, zanim umarł, zdążył córkę wielu pięknych i mądrych rzeczy nauczyć. Miała i ona w dalszym ciągu te skarby ducha między lud rozsiewać i brać stąd środki życia dla siebie i matki ale przyszła chwila zła i niewdzięczna dla nauki i dla uczących. Stefa odłożyła książki, zaczęła uprawiać inne, od matki przejęte, talenty. Stała się mistrzynią w robotach ręcznych; prześlicznie zwłaszcza wyszywała czarnymi perełkami na białym atłasie, a białą pelą na czerwonym...

Przy stole śmiano się i płakano na przemian niekiedy równocześnie. Śpiewano również, bo była to.

przede wszystkim epoka pieśni i piosnek. Przyprawę życia brano za jego treść.

Biała twarz Stefy wydawała się bielszą jeszcze przy czarnej sukni. Patrząc na nią i na jej strój, Władysław zapytał:

— Długoż jeszcze tych kirów?

Pytanie, zwrócone do wszystkich i do nikogo, stało się hasłem do piosenki.

Panna miłym głosem, o altowym odcieniu, zanuciła:

Schowaj, matko, suknie moje,

Perły, wieńce z róż; Jasne szaty, świetne stroje

To nie dla mnie już...

Obecni półgłosem chórem śpiewowi towarzyszyli. Druga strofa popłynęła akordami:

Niegdyś jam stroje, róże lubiła, Gdy nam nadziei wytryskał zdrój. Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła, Jeden mi tylko pozostał strój: Czarna sukienka!

Śpiewającej może przyszedł na myśl ojciec niedawno zmarły, bo skończywszy piosenkę, łzami się zalała.

I znów, jako lekarstwo na łzy, śpiew się znalazł. Pieśnią wówczas rozłzawiano się i pieśń do osuszania łez; służyła.

Władysław przysunął się do narzeczonej, małego wąsika podkręcił rześko zaśpiewał:

Hej, dziewczyno, nie płacz wiele, Jedną tylko łyżkę zroń; Wy się zbliżcie, przyjaciele, Uściśnijcie bratnią dłoń.

Taki los Wypadł nam: Dzisiaj tu, Jutro tam!

Piosenka była sprzed wielu lat — ochocza, żołnierska. Dzwoniły w niej ostrogi, szczekała szabla. Wszyscy ją umieli, więc wszyscy przyłączyli swe głosy, powtarzając chórem zwrotkę i uderzając do taktu łyżeczkami w szklanki i kieliszki.

Młodzieniec śpiewał dalej:

Jak wspaniała nasza postać, W oczach iskry, w dłoni stal; Koń na miejscu nie chce dostać; Pójdziem, koniu, pójdziem w dal.

Taki los

Wypadł nam:

Dzisiaj tu,

Jutro tam!

Zagrzmiało...

Zamilkli i instynktownie zwrócili wzrok ku oknu. Ale przez małe, zakurzone, pajęczyną zasnute szybki, nie można było dojrzeć nieba. Jedno tylko było widoczne: że już na dworze dzień zupełny.

Wraca burza zauważył Zrzelski.

Niech wraca! rzekł młodzieniec obojętnie... Teraz nam ona ani pomoże, ani zaszkodzi. Zrobiliśmy swoje należy nam się odpoczynek. Śpiewajmy. I zanucił strofkę ostatnią. Tej strofki, prócz dzwonienia łyżeczek, towarzyszył miarowy odgłos grzmotu. Przy każdym grzmocie śpiewający czuli pod stopami jakby dreszcz ziemi.

Jak nie mamy żyć wesoło, Gdy nie wiemy, gdzie nasz grób?

Lada kulka świśnie w czoło, I na ziemię legnie trup.

Taki los

Wypadł nam:

Dzisiaj tu,

Jutro tam!

Zaledwie skończył — powieki ciężko mu opadły, głowa na piersi zwisnęła, z ust wybiegło krótkie, nerwowe ziewnięcie.

Chciał walczyć ze sobą, lecz walka przechodziła już jego siły. Otworzył na chwilę do połowy oczy i zaraz na powrót je zaniknął.
— Wybaczcie... Trzy noce... bez snu... — na pół nieprzytomnie wyjąkał.
Głowa opadła mu na stół — zasnął snem kamiennym.
Stefa wybiegła i wróciła za chwilę niosąc poduszkę. Przy pomocy Zrzelskiej, z macierzyńską prawie

czułością umieściła ją pod głową narzeczonego.
Wszyscy wyszli na palcach z pokoju.
Pierwszą rzeczą, która ich uderzyła po wyjściu z ciemnicy, była przepyszna, słoneczna pogoda.
Grzmoty zaś nie ustawały...
Po burzliwej nocy zabłysnął poranek na podziw piękny i cichy.
Przed samym świtem, cofające się w nieładzie chmury skropiły ziemię rześistą ulewą. Teraz wychodziła z niej wilgoć lotnym oparem, który otulał miasteczko lekką, przejrzystą, niby muślinową powłoką. Na zachodnim krańcu, gdzie były łąki mokre i trzęsawiska, mgła podnosiła się gęstym, mlecznobiałym obłokiem, tworząc jakby ruchomy a nieprzenikliwy szaniec. Wskroś tego szanieca nie było widać nawet wzgórz
tar

niną porosłych, które w tej stronie półkolem opasywały miasto. Miasteczko, spowite w muśliny i murem obłocznym oszańcowane, spało długo i smacznie. Blachą obita dzwonnica fary i ceglany ostrosłup wieży ratuszowej od dawna kąpały się w słońcu, a w wielu domach i dworach nie odemknięto jeszcze okiennic. Chwilami to z tej, to z owej sieni lub furtki wychylała się postać do połowy odziana i senna. Niepewnym wzrokiem wodziła przez chwilę po pustej ulicy, potem, głośno ziewnąwszy, w głąb się cofała. Dzieci jednak, pomimo znużenia, nie zasnęły. Zbudziły się nawet wcześniej niż zwykle. W pokoiku zapomniano zapuścić roletę; słońce, świecąc prosto w oczy, spać im nie dało. Zdziwione, że nie widzą przy sobie matki, wyskoczyły z łóżeczek i pobiegły boso do kuchni.

Marcysia drzemała na stołku, ubrana. Widocznie wcale się nie kładła. Sen chwycić ją musiał przy nastawianiu samowara, gdyż stał on tuż przy niej, napelniony wygasłymi węglami.

Na widok dzieci dziewczyna zerwała się i dmuchać ją w zimny kominek. Potem obuła je i ubrała. Na zapytanie, gdzie rodzice i pan Władysław, odrzekła, że to do dzieci nie należy.

Rodzeństwo, napojone ciepłym mlekiem przyniesionym od mleczarki, pobiegło wesoło do ogrodu.

Na kwiatach i liściach stały jeszcze duże krople wody. W miejscach cienistych ziemia była czarna od wilgoci. Lekki obłoczek przesłaniał wierzchołki drzew.

Gdy dzieci szparą w parkanie wyrzały na rynek, wydał się on im zadymiony. Ciężki, osadzisty gmach ratuszowy w lotnych oparach tonący wyglądał jak zjawisko senne.

: Po stronie przeciwnej nic prawie nie było widać. Rozlało się tam wielkie, falujące morze mgły. Chwilami tylko wynurzały się stamtąd, na kształt wysep, zielone płaty łąki.

Dzieci oczarował niezwykle widok. W równym też stopniu były zachwycone ciszą panującą dokoła.

Przez pewien czas, ująwszy się za ręce, powolnym, soennym krokiem chodziły po uliczkach ogrodu jak po kościele. Rozmawiały nawet szeptem. Ale nastrój solenny w dziecięcej duszy długo trwać nie może. Chłopcy uczyli nagle niezwalczoną ochotę ożywienia czymkolwiek ciężającej im ciszy.

Leszek stanął w miejscu i nie wiadomo po co i na kogo krzyknął:

— Hej, ty!...

Pośpieszył za nim Kazio, wykrzykując:

— Hej, wy!...

Jadzia, zachwycająca się wszystkim, co czynili bracia, zaczęła śmiać się głośno i w rączki klaskać.

Stało się to hasłem do krzykliwej zabawy.

Dzieci otrząsały na siebie gałęzie obciążone wodą. Gdy któremu chłodne krople spłynęły na plecy, zaczynało krzyżeć. Wówczas rozbiegały się wszystkie po ogrodzie, wrzawę straszną podnosząc.

Potem Leszek zrobił nadzwyczajne odkrycie: woda, mapełniająca kwiaty powojów, miała smak słodki. Natychmiast wszystkie dzieci, wspinając się na palce, zaforały się do wysączania z kwiatów nektaru.

Niebawem niespokojna myśl chłopca w inną stronę pobiegła.

Pamiętacie zawołał jak to było? Bum! bum! bum!

— Nie bum — poprawił spokojniejszy Kazio — lecz: paf!... pafpaf!... pafpafpaf!...

Dziewczynka rozstawiła nóżki, rączki rozsunęła i wydymając tłustą buzię, zawtórzyła braciom:

— Dududududu!...

W tej chwili w zachodniej stronie miasta zagrzmiało, jakby w odpowiedzi:

— Buuum!

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

— Brawo! wybornie! Jadziu, jeszcze raz!

— Dududududu!... — powtórzyła dziewczynka.

— Buuum! Buuum!... — huknęło dwukrotnie potężne echo.

Chłopcy zanosili się od śmiechu.

Gdy Jadzia zabierała się do powtórzenia próby po raz trzeci, na moście rozległ się gwar. Dzieci porzuciły zabawę, pobiegły pędem do parkanu.

Przez szparę pomiędzy deskami ujrzały widowisko szczególne i tak zajmujące, że im o wszystkim innym. zapomnieć kazało.

Ulicę i rynek, przed chwilą jeszcze zupełnie puste, napelniał teraz tłum ludzi. Większość była do połowy tylko ubrana; wszyscy zaś objawiali nadzwyczajny niepokój: biegali, krzyczeli, rękami w jedną stronę wskazywali.

Wśród tłumu, na kształt kwiatów w łanie zbożowym, błyszczały gęsto czapki: białe, niebieskie, amarantowe. Czapki zbiegały się z różnych stron

we wspólne ogniska. Wkrótce też dzieci spostrzegły z uciechą, że na szarym tle surdutów, kapot i kamizelek utworzyły się trzy wielkie plamy, a raczej konstelacje troistej barwy.

Grzmot oddalony znów zatrzęsł ziemią i parkanem.

Tłum krzyknął: „Aaaaa!” dzieci powtórzyły: „Dudududududu!”

Ozwał się jękliwy, jakby płaczący głos trąbki myśliwskiej. Barwne plamy oderwały się od tła szarego i posunęły szybko na wschód, w stronę przedmieścia, zwanego Rybitwą. Był tam most na rzece, za rzeką pastwiska, za pastwiskami — las...

Grzmoty stawały się coraz rzadsze, wreszcie zupełnie ucichły. Tłum zaczął powoli odpływać do domów.

Dzieci, zachwycone „widowiskiem”, zabierały się do odejścia. Wtem nastąpiła nowa zmiana.

W oddaleniu ozwały się trąby. Grały rześkiego, wesołego marsza.

Dzieci nadstawiły uszu. Były podniecone, rozradowane.

Muzyka z każdą chwilą stawała się głośniejsza; grający zbliżali się widocznie. Ile razy trąby przycichły, do uszu dzieci dobiegały dziwne głosy, do pluskania wody podobne. Głosy takie wydają kopyta koni jadących stępą po bruku. Znaczyło to, że się zbliża liczny oddział jeźdźców.

Gdy trąby ponownie zagrały, dźwięki ich były bardzo donośne, a więc i bardzo bliskie. Jakoż po

chwili u wylotu jednej z ulic dotykających rynku zabłysły okazałe, czerwonozłociste mundury „złotych huzarów”.

Długim, połyskującym węzem rozwinął się na rynku oddział kawalerii. Kawaleria konwojowała karety. Za karetami również postępowali jeźdźcy. Na końcu, niby szeleszczący ogon grzechotnika, turkotało kilka wyładowanych kibitek oraz dwa czy trzy zielono pomalowane „jaszczyki”.

Cały orszak skierował się w stronę wielkiego gmachu, będącego główną kwaterą generała. Po prostu: wracał do miejsca, które był nocą opuścił. Wbrew zwyczajowi nikt tym razem „złotym” jeźdźcom nie towarzyszył. Nawet gapie miasteczкови po ką

tach się pokryli. Nie było ich przy kawalerii, nie było przy armatach, które przetoczyły się przez rynek w innym kierunku. Były zaś te armaty ciekawsze niż zwykle, gdyż niesiono za nimi dymiące jeszcze lonty. Z ich

paszcz wybiegało przed chwilą groźne „ostrzeżenie” — teraz powracały na stanowisko, uspokojone już i milczące.

Dźwięki marsza rozlegały się po miasteczku głucho, jakby w miejscu zupełnie pustym. I tylko dzieci w ogródku, wrażeniami ostatnich godzin podniecone, zamaszyście maszerowały do taktu muzyki, wykrzykując głośno:

— Raz, dwa — raz, dwa — raz, dwa...

Około południa wszystko już w miasteczku wróciło do porządku, a raczej: do stanu wczorajszego. Nie zawsze to znaczy toż samo.

Była już piąta po południu, a Władysław spał jeszcze. Stefa z matką od kilku godzin odeszły do siebie. Gościowi rozesłano pościel na zestawionych krzesłach. Nie rozbierając się, legł ciężko jak kawał drewna. Wszyscy w domu byli senni, osowiali; poruszali się wolno, ociężale, w posepnym milczeniu. Marcysia zgotowała obiad byle jaki. Dzieci wstały od stołu głodne i znudzone. Zaraz też pobiegły do ogrodu, zabrawszy ze sobą dostrzeżoną w kącie amarantową czapkę pana Władysława.

Po pewnym czasie, według zwyczaju, pojawił się w ogrodzie Fiedor. Przyniósł pierników, które dzieci z wielkim apetytem zjadły. Potem zaczął strugać konie i opowiadać bajki.

Chłopcy wszczynali kilkakrotnie rozmowę o wypad

kach nocnych — żołnierz wcale mówić o tym nie chciał...

Nagle wzrok jego padł na czapkę kolorową, do której Jadzia usiłowała przypiąć znalezione na grzędce pióro kogucie. Zadziwił się niezmiernie i poprosił, aby mu czapkę pokazano. Z niezwykłym wyrazem twarzy obejrzał ją, kręcąc i kiwając głową: wreszcie spytał dzieci, czyja jest i skąd się wzięła.

Chłopcy wygadali wszystko, co im było wiadome o czapce i jej właścicielu.

Żołnierz nie przestawał kręcić głową.

— Ach ty, Boże mój! Ach ty, Hospodi!... — pod nosem mruczał.

A do dzieci zwracając się rzekł głośniejszym głosem:

— Ach wy, durnieńkie! Nagle zapytał:

— Tak i gdzież on, ten „pan Ładysław”?

— Śpi! — zawołały dzieci chórem.

Nu, Boh z nim; niech śpi. Ale w tym bieda, co obudzić jego mogą.
Oho! odezwał się rezolutnie Leszek. Nie wiem, kto by tego dokazał. Ja pana Władysława za rękę ciągnąłem, to tylko coś zamamrotał i na drugi bok się przewrócił.

Nu, nu, nu dziwił się Fiedor. A trafić to do niego łatwo?

Co ma być trudno. Prosto korytarzem i tyle. Na samym końcu ciemna spiżarka, a w spiżarce pan Władysław.

Żołnierz słuchał z wielką uwagą. Nagle wyprostował się i głowę wytknął, łowiąc uchem głosy znajome.

Przez szparę w parkanie było widać mały oddział żołnierzy pod bronią. Żołnierze obstawili dom sąsiedni część, z oficerem na czele, weszła do środka.

Fiedor z nadzwyczajnym pośpiechem wsunął amarantową czapkę do obszernej kieszeni. Następnie równie śpiesznie ściągnął z siebie szynel, z którym nigdy się nie rozłączał.

Zrobiwszy to, z szynelem w ręce i w czapce na głowie, rzucił się gwałtownie do mieszkania Zrzelskich.

Zdziwione, przelękłe dzieci nie poruszały się z miejsca.

Po małej chwili żołdat zjawił się z powrotem, niosąc kogoś w obu rękach jak małe dziecko. Wbiegł szybko do ogrodu i człowieka niesionego na trawie złożył. Następnie umieścił na jego głowie swą czapkę żołnierską w ten sposób, że mu całą twarz zakryła.

Zrobiwszy to wpadł do kuchni, wyniósł wielki samowar i ścierkę. Z samowarem siadł na trawniku i z wielkim rozmachem wycierać go zaczął.

Nie ubiegło trzech minut, gdy dom i ogród zostały obstawione uzbrojonymi żołnierzami. Dziesięciu

ich może, pod wodzą oficera, zjawilo się na podwórzu. Oficer wydał rozkazy część żołnierzy wtargnęła do domu, część rozbiegła się po zabudowaniach gospodarskich. Dwaj zeszli do piwnicy: jeden zaczął dach opatrywać.

Oficer wszedł do ogrodu.

Ty zdieś czto? spytał salutującego Fiedora.

Chlebiec prodaju, wasze ...rrodje, samowarcziki cziszczu.

A on czto? na leżącego wskazał. Probudi duraka!

Izwinitie, wasze ...rrodje. Niewozmożno. Czełowiek jest pjanyj, miertwiecki pjanyj....

Swinja. Tfy!

Oficer zawrócił i wyszedł z ogrodu.

W kilka minut później wojsko opuściło dom, nic i nikogo nie znalazłszy. Gdy noc zapadła, z mieszkania Zrzelskich wyszedł stary, przygarbiony wieśniak w siermiędze, z długimi włosami spadającymi na twarz spod słomianego kapelusza. Wieśniak skierował się ku rzece. Gdy doszedł do brzegu, podpłynął doń na małej łódce rybak. Można było mniemać, że już tam czekał na niego.

Wieśniak, dostawszy się na drugą stronę, mimo spóźnionej pory i głębokich ciemności, rześkim krokiem młodzieńca puścił się przez łąki w stronę lasu...

— No, Fiedor, zuch z ciebie. Grackoś się spisał, ani słowa. Widzę, żeś ty naprawdę człowiek dobry. Dziękuję ci. A tu masz na tytoń...

Zrzelski położył na stole dziesięciorublowkę. Żołnierz stał wyprostowany, z miejsca się nie ruszał.

Weź, to dla ciebie powtórzył Zrzelski, posuwając banknot w stronę Fiedora.

Tamten odchrząknął i rzekł:

Pozwólcie, pan Zrelskij. Ja nie po diengam to zrobił.

Pomyślał chwilę.

Ja dumaju mówił co wy, baryń, zrobiliby to samo dla Fiedora, choć Fiedor człowiek biedny i bumażek u niego nie ma. Gospod Boh wszystkich miłować przykazał. W cerkwi u nas i w waszym kastiole wszystko o tym mówią. Byłby on Chrancuz, Turek, dąże Jewrej, zrobilby

ja tak samo. Cóż my, grzeszni ludzie? Glina da proch. Dziś ty, brat mój, charosz, krepki, maładiec; a jutro już nie twoje. Zasnął ty tu, a obudził tam. A tam Gospod Boh i pyta: „Durak ty takoj, mów

ty mnie, co dziełał, żyw bywszy? Miłował ty blizniawo twojewe, tak pomiłuju i ja ciebie i grechow twoich."

Mówił z wolna z zastanowieniem, głosem ciekim i śpiewnym. Chwilami brzmiało to nieco sztucznie i jakby afektacyjnie. Znać było jednak, że żołnierz cudzej lekcji nie powtarza, lecz bierze wszystko z siebie, z własnych uczuć, z własnych rozmyślań.

Zrzelski wszakże podejrzewał szczerść tych wyznań, a przynajmniej starał się być względem nich ostrożnym.

— No, no — rzekł dobrotliwie — wszystko to prawda, jednak... Kilka rubli na tytoń zawsze się przyda. Od dobrych ludzi dzięgi wziąć można.

— Prawda wasza, baryń — odrzekł żołnierz z powagą. — Diengi rzecz święta, ich zawsze brać trzeba, kiedy od duszy, po dobroci dają. Mnie diengi nie nużny: u mnie jest żałowanie i jest co

niebądź za robotę. Ale wy, baryń, pozwólcie dać bumażku etu dla tioszczy mojej. Biedniażka ona, starucha. Chodzić to ona nie może, przy kominie siedzi, lion priadie, kartoszki pieczet, da jest. A u niej jeszcze i ditiatki są, także mileńkie jak wasze. Nie matka to ona im, a babuszka. Po synu zostali, co jego ubili Czeczeńcy na Kawkazie.

Mogę dać i ciotce. A gdzież ona?

Pozwólcie, baryń, zrobić zapisku: „Praksieda Timofiejewna, czernigowskoj guberni,ckiego ujezda, imienje Michajłowka, sieło Iwanowka.” Pozwólcie, baryń, dołożyć Praksiedie Timofiejewnie, co ja zdrowy, po bojaźni Bożej żyję, a czorta z siebie precz wyrzucił. A Wasia, krasawiec, czestno siebie wiezie. Gienierał jego lubi; za dwie, trzy niedziele w pisary go odda. A z tem pozdrawlaju tioszczu, ditiatek całuju i je

dnego porosionka od czarnej matki proszu dla mnie zostawić i wykarmić.
— Dobrze, wszystko to napiszę. Ale nic że sobie, ziemiak, nie zostawisz?
Choć na tytoń by się przydało.

— Titiuń, on to dużo nie stoi. Tri kopiejki wy mnie, baryń, dajcie, będę dowolen.

Zrzelski dał mu pięć kopiejek. Żołnierz wyciągnął z kieszeni chustkę, wy dostał z węzła dwie kopiejki — z pokłonem na stole położył.

Sprawa była załatwiona, Fiedor jednak nie odchodził. Na jego twarzy znać było, że chciałby jeszcze wygadać się z czymś, co go korci, co mu dolega. — A wiecie wy, baryń — rzekł po chwili odmiennym głosem — ja długo dumiał: prawli ja ili greszny? Młodego człowieka to ja wypuścił, a może być, co on i źle robi? Boh z nim. Dowiedział się, co on obruczony z panienką dobrą, tak mnie i żal stało się panienki. A to, nie daj Boh, w katorgu by

poszedł; na wienczanje w kandały by to jemu zadzwonili. A wszystko, tak i on bliźnij. Nu, i młody bardzo naprawić się może.

Tu Zrzelski uważał za właściwe wszcząć wielką, zasadniczą dysputę teoretyczną...

Żołnierz słuchał najpierw z ciekawością, następnie z niepokojem. W końcu na jego twarzy odmalował się przestach.

Zrzelski nie doszedł jeszcze do połowy swego wykładu tamten mu przerwał:

Zostawcie to, baryń. To nie moje dzieło. Człowiek ja prosty. U mnie jeden Boh, jeden car i po wszystkim.

Począł przestępować z nogi na nogę, czapkę z ręki do ręki przekładać.

Zrzelski zrozumiał, że słowa jego byłyby głosem wołającego na puszczy.

Zawiesił wykład i rzekł:

— No, ziemiak, pogadamy my jeszcze o tym. Tymczasem idź z Bogiem. A cygarko weźmiesz? — Dwa, jeśli pozwolicie.

Marcysia postawiła na swoim.

Jednego dnia, gdy Zrzelscy wyjechali z dziećmi za miasto, Fiedor przyprowadził Wasię.

Blask zalał kuchnię, gdy wstąpił do niej złoty huzar; Marcysia, tak zwykle rezolutna, języka w ustach zapomniała, gdy ukłonił się jej po kawaleryjsku, to jest zsuwając pięty i dzwoniąc głośno ostrogami.

Wasia był ładnym i świeżym chłopcem. W obcisłym uniformie kawalerzysty kształtna jego postać korzystnie się przedstawiała. Głowę miał okrągłą, pokrytą krótkim, jasnym włosiem; także maleńkie wąsy i oczy niebieskie. W salonie raziłby pewnie jego nos zadarty i kości policzkowe nazbyt wystające; w kuchni uroda „mołodca” przechodziła najwyższą miarę, jaką tu stawiano.

Wizyta miała charakter prawie ceremonialny. Marcysia była jak olśniona. Z silnymi rumieńcami na twarzy, śmiała się nieustannie sztucznym,

suchym śmiechem. Fiedor wpatrywał się w przyrodniego brata jak w tęczę i milczał. Sam wreszcie bohater był powściągliwy w słowach i przygnębiająco dostojny.

Wasia, w pułku od dawna służący, zdążył już przejść od „wyższych stopni” wytworny, petersburski sposób mówienia. Niepodobna wyobrazić sobie nic wspanialszego jak jego „taksss”, które wymawiał z zaciśniętymi zębami i w ten sposób, że brzmiało niekiedy jak „teksss”.

Huzar przyniósł coś sporego, zawiniętego w kwiecistą, kolorową chustkę. Przy wejściu zawiniątko dyskretnie złożył na ławce kuchennej. Marcysia udawała, że

tego nie widzi; paliła ją wszakże ciekawość, co mieścić w sobie może okazała chustka.

Dopiero gdy się stało zadość formom towarzyskim i gdy rozmowa ożywiać się poczęła, sięgnął Wasia po zawiniątko. Z kwiecistej chustki wyjął flaszkę wódki słodkiej i narzędzie muzyczne zwane „bałabajką”, potem złożył ją ostrożnie na stole. W chustce były śliwki.

— Otóż to kawaler — pomyślała Marcysia. — Nie taki prostak jak tamten, co tylko pierniki groszowe znosi i „byczka” na harmonii wygrywa.

Postawiła kieliszek, fartuszką go wytarłszy; śliwki przełożyła na talerz; na drugi nasypała orzechów laskowych, po które sięgnęła do swej skrzynki malowanej na zielono w wielkie, czerwone róże.

Poczęli przepijać do siebie we dwoje tylko, bo Fiedor na wódkę patrzeć nie chciał. Przy każdym kieliszku — a były gęste — Wasia wstawał z ławki wyciągnięty jak struna, przechylał się szybko w

tył jednym łykiem wszystką wódkę wypijał.

Było to nadzwyczaj wytworne. Marcysia nigdy w życiu nic podobnego nie widziała.

Nie wiadomo, czy skutkiem odblasku rzucanego przez czerwony mundur, czy też od gęsto wychylanych kieliszków, Wasia stał się wkrótce podobny do ugotowanego raka. Rozwiązał mu się język. Sztucznym, gardłowym głosem (który w uszach Marcysi brzmiał jak śpiew serafina) począł rozpowiadać bardzo ucieszne dykteryjki pułkowe. Dziewczyna śmiała się do rozpuku, choć nic a nic nie rozumiała.

Fiedor siedział na drugim końcu ławki i z wielkim spokojem jadł orzechy, rozgniatając je dłonią na stole. Gdy brat począł przebierać miarę w zapale krasomówskim, podniósł głowę i zanucił cienko: Ej! Wasia, Wasia, Wasia...

— Cztoss? — odezwał się tenorem huzar, szyję wykręcając. — Ty by, Fieduszka, nam nie mieszał. Panna Marcysia asoba dielikatna; zaraz i strusiła. Szumięł, bratsss, i ty. Pomnisz, ass?

— Pustiaki! — mruknał tamten, wzgardliwie machnąwszy ręką. — A teraz ja ze wszystkim drugi człowiek. Czorta odstąpił, Gospodu Bohu służę. Muż to ze mnie będzie dobreńkij, priedobrieńkij.

I małe oczki z wyrazem niezmiernej czułości na Marcysię obrócił. Ale dziewczyna spojrzeniem i całą duszą zatopiona była w złotym huzarze. Wszystko jej było jedno, o czym mówi; słuchała tylko muzyki jego głosu, która ją do siódmego nieba unosiła.

Zachwyt tak ją całą przeniknął, że naprawdę wypiękniała. I obejście jej stało się inne niż zwykle — powściągliwsze, szlachetniejsze.

Korzystając z pauzy w opowiadaniu, wyciągnęła rękę, końcami palców przebierać poczęła po

strunach bałabajki.

Proszę pana spytała z miną „pierwszej naiwnej” jak się to na tym gra? Wasia zrozumiał i niebawem rozległy się w kuchni brzęczące tony instrumentu.

Huzar grał tylko melodie czułe. Nic „kozackiego” spod palców jego nie wybiegło. Zasłuchanej Marcysi zdawało się chwilami, że ją aniołowie

unoszą do nieba. Ci aniołowie mieli czerwone, obcisłe mundury, sznurami żółtymi wyszywane...

Zachwycony był i Fiedor. Oczy jego przechodziły kolejno z Wasi na Marcysię, z Marcysi na Wasię...

Ot, jaki to u mnie brat!... Ot, jaka to będzie u mnie żonka!...

Te dwie myśli tańczyły nieustannie po głowie „sołdata”; wyzierały z jego oczu, uśmiechu, z całej jego postaci.

Tymczasem Wasia zapadł w sentymentalne rozmarzenie (wódka, mimo słodczy, była bardzo mocna). Głowę podniósł do góry, bałabajkę opuścił na kolana, plecami wsparł się silnie o ścianę. W tej postawie pomilczał chwilę, potem przez zaciśnięte zęby zaśpiewał:

Za oknom, w tieni milkajet

Rysaja gołowka;

Ty nie spisz, ditia moja,

Ty nie spisz, płutowka!...

Nawet Fiedor nadstawił uszu, dziwiąc się, skąd brat umie takie pańskie piosneczki. Marcysia, choć tak zachwycona, zdziwienia nie doznawała. Gdyby z głowy Wasi wytrysły nagle promienie, a na ramionach jego zjawily się jeneralskie szlify — i to nawet wydałoby się jej zupełnie naturalnym.

Po chwili bałabajka żywiej zabręczała. Śpiewak wzniósł oczy do pułapu
głos jego zabrzmiał o kilka tonów wyżej:

Po ulice mostowej
Szła dziewczka za wodój,
Za wodój, za chołodnoj.
Za nioj baryń mołodój
Kryczyt: „Diewuszka, postój!
Krasawica! Podażdi,
Bieły ruczki podaj mi!...”

Ten „romans” był już zrozumiały i dla Marcysi. Oczarowała ją dworskość
„barynia”, który tak pięknie przemawiał do niosącej wodę „diewuszki”.
(Wasia wyma

wiał „dżewuszki”, co również należało do huzarskiej elegancji.) Rozumie się, że w tej ostatniej widziała ona siebie.

— Ten dziegiarz Fiedor — przebiegło jej przez głowę — nigdy się nie zdobył na takie wyrazy... On tylko łązi i gada: „Włubił się w pannę Marcysie...” — „Żenić się będę na pannie Marcysi...”, i tyle. Niedźwiedź! Fiedor rozkochanymi oczyma wpatrywał się w swą wybranekę, a serce jego tajało jak cukier w herbacie. I na kształt żelaza przyciąganego przez magnes, posuwał się z wolna ku Marcysi, od której przedzielała go z początku cała długość ławki kuchennej.

Marcysia spostrzegła to i aż zakipiało w niej od złości. Miała w tej chwili jakby dwie twarze, a raczej na jednej twarzy dwa wyrazy, wręcz odmienne.

Jedno jej oko i jeden kącik ust uśmiechały się słodko do Wasi; z drugiego oka i z drugiej połowy ust

wyzierała niechęć do Fiedora.

Soldat nie znał się na tych odcieniach. Przestrzeń, dzieląca go od lubej, nieustannie zmniejszała się chwila jeszcze, a znalazłby się tuż przy niej.

Marcysia ścisnęła pod stołem pięść, próbując ostrości paznokci na własnej dłoni. I kto wie, czy próby nie powtórzyłaby gdzie indziej na szczęście zapobiegł temu Wasia, który właśnie w tej chwili osądził, że należy położyć koniec wizycie.

Zerwał się szybko z miejsca, jakby na głos trąbki; wyciągnął się jak struna.

Nusss, dowolnosss. Fieduszka, nam pora iść. Proszczajcie, mamziel Marcysia.

Powiedział wyraźnie: „Mamziel” co już było szczytem wytworności. Zaraz też, zwawy i giętki, palce do czoła przyłożył,

pięty zsunał, ostrogami zadzwonił i za próg jak fryga wyskoczył. Fiedor pociągnął za nim ociężale.

Zaledwie uszli kilkanaście kroków, Wasia stanął.

— Słysz, Fiedko — rzekł. — Ja swój płatok ostawił. Pozdaj.

I skoczył z powrotem do kuchni.

Gdyby Fiedor czytał był Fausta, wiedziałby, że kochanek Małgosi w podobny sposób uwolnił się od towarzystwa Mefista, aby w altanie ogrodowej odegrać nieśmiertelną scenę pożegnania.

Ale Fiedorowi daleko było do Mefistowej przenikliwości. Gdy po kwadransie czekania ujrzał nareszcie nadbiegającego huzara, pierwsze i ostatnie jego pytanie było, czy chustka się znalazła.

Potwierdzająca odpowiedź wprawiła go w humor jak najlepszy. W wybuchu czułości, do Marcysi skierowanym, wyściskał i wycałował Wasię.

Było święto. Dzień, choć ciepły, tchnął smutkiem nadchodzącej jesieni. Nad miasteczkiem, leżącym w nizinie, mokrymi łąkami otoczonym, wisiała mgła. Pod wieczór opadła i jak dym po ulicach się snuła. Fiedor spędził cały dzień na służbie; Zwolniony o zachodzie słońca, włóczył się przez pewien czas po miasteczku z kamratami, przy czym przehulał całe trzy kopiejki na pierniki i ulęgałki. Potem padła mu na duszę „chandra”, która wielu podobnych jemu trapi co pewien czas na kształt febry. Coś go ssało pod piersiami; uczuwał ogromną chęć napicia się wódki. Rzucił towarzyszków jał chodzić sam, nucąc pod nosem dziwne melodie, przeciągłe i jęczące jak wiatr na stepie. Jak innych mirażów niebiańskich, tak jego prześlado

wały szynkowniane widzenia. Myślał, jak głębokiej, do szpiku kości sięgającej rozkoszy doznałby, upiwszy się aż do utraty przytomności, do zapomnienia o świecie całym...

Szedłby wówczas wąską uliczką w czapce przekrzywionej, zbacząc na prawo, na lewo, tracąc chwilami równowagę i odnajdując ją na murach domów, na plecach przechodniów, na głowach dzieci.

Obudziłby się potem albo na miękkiej kupie śmieci, albo w zimnej, wilgotnej ciemnicy, do której wtrąciłby go patrol. W obu razach uczułby się zwierzęciem — leśną lub stepową bestią, którą wzięto na łańcuch, ale która, gdy siły wyteży, łańcuch zerwie.

Te wrażenia obce mu nie były. Doświadczał ich niegdyś, dawno już, gdy żył za pan brat z diabłem.

Dawny druh nacierał nań bardzo energicznie — już prawie rogami bódł go w plecy. Fiedor spostrzegł to i — uczuł trwogę śmiertelną. Zboczył do zaułka, czapkę z głowy ściągnął — raz po raz żegnać się zaczął.

Gospodi, pomiłuj... Gospodi, pomiłuj... powtórzył kilkadziesiąt razy. I szparkim krokiem ruszył przed siebie, uciekając jak najdalej od szynków, które rozbłyskiwać poczynęły zapalonymi łożówkami. Na końcu miasta był plac zadrzewiony, razem park i wirydarz. Stało tam kilka ławek drewnianych, rosło trochę kwiatów, zasadzonych i pielęgnowanych ręką „municypalności”.

W godzinach rannych przebywały w parku niańki z dziećmi; przed wieczorem używała przechadzki publiczność wytworna: panowie, przeważnie w mundurach, panie w „krynolinach” i „kokach”. Gdy mrok zapadł, ludzie stateczni to miejsce omijali. Stawało się wówczas przytułkiem złodziei i zakochanych.

Fiedor nie należał do żadnej z tych dwóch kategorii — nie poszedł więc do parku, lecz zatrzymał się opodal. Oparł się o płot na pół rozwalony, fajeczkę „świcentem” nabił, zapalił — w zadumie utonął.

Było już ciemno; mgła z każdą chwilą gęstniała.

Myśli żołnierza to czepiały się bliskich przedmiotów, to odbiegały od nich daleko — zupełnie jak dym fajeczki, który raz snuł się przy samych ustach, kiedy indziej chmurką lekką w przestrzeń ulatywał.

Myślał Fiedor o swym nędznym dzieciństwie: o głodzie, który mu nieraz skręcał wnętrzności, o mrozach, które miliony igieł w boscie nogi wbijały. Przed oczyma stanęła mu żywo jedna noc zimowa, bezlitośnie mroźna, pełna gwiazd na niebie, a iskieł lodowych na ziemi — noc straszna, w której go już na pół zmarzłego śmierć za gardło chwytiała...

W uszach dźwięczały mu dzwonki sanek dalekich, które zamiast przybywać, oddalały się od niego; słyszał wyraźnie wycie głodnych wilków, wieszczących mu zgon bliski.

Wzdrygnął się, splunął.

Propadi! z gniewem zaklął.

Jednak nie opuszczała go dziwna tęskność. Było mu na duszy tak prawie źle, jak w ową noc przeklętą.

Aby otrząsnąć się z chandry, myśleć zaczął o Wasi, potem o Marcysi. Te dwie postacie były dwojgiem słońc, od których biło światło na jego całe życie, szare i posępne życie „krugłego sieroty”.

Wasia był jego szczęściem, dumą, pociechą, oparciem dla myśli. Nie czuł się samotnym i osieroconym, gdy z Wasią rozmawiał, gdy na Wasię patrzył, gdy choćby tylko myślał o Wasi. Nie wątpił, że Wasia przeznaczony do celów wysokich, że lada dzień zostanie „znacznym człowiekiem”, a wówczas i jego, mizeraka,

z prochu podniesie. Żonę też roił dla niego świetną osobę, „ważną”, bogatą, mądrą.

Dla siebie wybrał Marcysię. Wad jej nie widział, o niedostatkach zapominał, krytykować nie mógł. Kochał. Dlaczego kochał, nie wiedział. Pod tym względem nie był ani mędrszym, ani głupszym od wszystkich zakochanych.

O jednym nie wątpił: że się z Marcysią ożeni i że ta miłość uczyni go szczęśliwym. Umysł miał ciężki; gdy myśl jaka ćwiekiem w nim utkwiała — już niepodobna było wyrwać jej stamtąd.

Zapalił świeżą fajeczkę, zanucił coś wesołego — lżej zrobiło mu się na sercu. Zobaczył się już w myśli mężem Marcysi, odnawiającym „domik

stareńki", kopiającym własny ogród, otoczonym kurami i kaczkami — szczęśliwym.

W tej chwili, o kilka kroków od niego, zjawilo się na drodze dwoje ludzi przytulonych do siebie. Żołnierz szedł do parku z kochanką.

Pomimo mgły i szarego szynela zakrywającego mundur poznał od razu idącego.

Wasia! a Wasia! wesoło zawołał. Tamten nie obejrzał się kroku przyspieszył. Fiedor, biorąc to za figiel, pobiegł za bratem i dogoniwszy w plecy po przyjacielsku uderzył.

Stupaj! mruknał huzar z gniewem.

Fiedor nie zważał na to i rozweselony zwrócił się do towarzyszki brata.

Dziewczyna dużą chustką całą twarz zasłaniała.

Fiedor, z prostotą zwyczajów właściwą jego sferze, lewą ręką ujął nieznajomą, za ramię, prawą chustkę uchwycił.

Panienska! a panienska! zaśpiewał poufale. Pozwól posmotriet'.

Dziewczyna szarpnęła się, chustka spadła... Fiedor stanął jak wryty. Tamci od dawna już zniknęli w mgle — on jeszcze z miejsca się nie ruszał. Umysł jego, zaskoczony niespodzianką, ciężko pracował nad jej zrozumieniem. Powoli jednak jasnym mu się stało, że mu ukradziono, co miał najdroższego, i że kradzieży dopuścił się ten, co mu był najdroższy. Gdy to zrozumiał, za głowę się chwycił i zębami zazgrzytał. — Zmieja... zmieja... — kilkakrotnie, głuchym głosem powtórzył. Nienawiść uczuł tylko dla kobiety. Gdyby miał ją w tej chwili przy sobie, pchnąłby ją z pewnością „szykiem”. Nad Wasią litował się. Brat był w jego oczach — ofiarą; był też i owym, skradzionym mu, skarbem. Czynił te wszystkie refleksje powoli, z wysiłkiem, stojąc wciąż na drodze i nie przestając zgrzytać zębami.

Wreszcie, głowę zwiesiwszy, jak byk zabierający się do natarcia, zawrócił i w miasto poszedł.

Szynki przy święcie były przepelnione. Wszędzie na jasnych szybach migały sylwetki biesiadników. Tu i owdzie dudniała głucho katarynka. W pobliżu mostu była wielka szynkownia, uczęszczana prawie wyłącznie przez żołnierzy. Można było uraczyć się tam wszystkim, co żołdacką dolę ozłaca.

Szynkarz, rudy Żyd z niskim czołem, z głęboko wpadłymi oczyma, brał od żołnierzy kopiejki, ale dopytywał pilnie o ruble i „czerwieńce”. Wielkimi względami cieszyły się u niego zegarki i złote łańcuszki, nie gardził jednak i odzieżą – nawet przestrzeloną. Do tego Żyda, przezwanego przez żołnierzy Ryżym Czortem, skierował kroki Fiedor. Z miejsca ruszył pręd

ko, ale im bardziej zbliżał się do szynku, tym chód jego stawał się wolniejszym, ociążalszym.

Droga wypadła mu przez most. Był to most stary, o nadpróchniałych deskach, o palach nadgniłych. Wznosił się wysoko ponad rzeką, która w tym miejscu płynęła zwężonym korytem, ujętym w brzegi spadziste. Woda rwała szybko, roztrącając się z szumem o podstawę mostu, o szczątki starych, pozieleniałych od zgnilizny pali, które wystawały nad powierzchnią wody.

Fiedor, zwalniając stopniowo kroku, zatrzymał się na moście. O poręcz drewnianą wsparty, w dół się zapatrzył. Mgła zakrywała całkowicie rzekę. Most zdawał się wisieć w chmurach, które spodem kłębiły się fantastycznie. Zdawało się, że zakrywają przepaść niezgłębioną. Z przepaści płynął w górę szum niewyraźny, przerywany, do szeptania licznych ust podobny...

Nagle przegiętemu przez poręcz Fiedorowi wydało się, że słyszy z dołu syczące wołanie:

— Isz ty... Fieduszka... duszka... duszka.

Propadi! zaklął z gniewem i w chmury nadwodne plunął.
Po chwili stał już przed szynkiem. Drżenie go opanowało, gdy miał drzwi otwierać; mimo to rękę do klamki wyciągnął.
Wtem, tuż za nim, ozwały się świeże, dziecięce głosy:
Fiedor!... Sōłdat!. Żelazny!...
Kazio, Leszek i Jadzia wracali z matką od znajomych. Nie słuchając upomnień matczynych, pobiegli do swego znajomego i za rękawy ciągnąc go zaczęli.
Fiedor puścił klamkę, odwrócił się i całą trójkę pochwycił na ręce. Chciał mówić nie mógł. Całował tylko dzieci po kolei, kłując je boleśnie szorstką brodą.
Potem pokłonił się Zrzelskiej i mimo jej protestów

zaniósł wszystko troje na rękach do domu. Stamtąd prostą drogą poszedł do koszar i spać się położył.

Jednej rocie piechoty i jednemu oddziałowi huzarów rozdano ostre ładunki. Miał wyruszyć na „rozpatrzenie” sąsiedniego lasu.

Do wyprawy należał Wasia.

Fiedor, którego pozostawiono, struchlał na tę wiadomość. Po raz pierwszy jego „ditiatko”, jego „angiel”, wystawiony być miał na niebezpieczeństwo. Gdyby to było możliwe, chętnie ofiarowałby się na zastępcę albo udał się za Wasią, aby mu z własnej piersi tarczę uczynić.

Wojsku kazano wyruszyć przed wschodem słońca. Całą tę noc Fiedor nie spał. Choć to było przeciwne regulaminowi, wymknął się za odchodzącymi i jak szalony pobiegł do koszar kawaleryjskich.

Mżył deszczyk drobny. W mętnym, piwnicznym świetle rozpływały się zarysy przedmiotów. W

powietrzu czuć było szczególnie, właściwy jesieni zapach zwiędłych, butwiejących liści.

Miasteczko spało na oba uszy, pozamykawszy szczelnie wszystkie drzwi, bramy, furtki i okiennice. Żołnierzom zalecono sprawiać się jak najciszej. Wyjść mieli z miasta chyłkiem, bez trąbienia, bębnienia i śpiewu.

Gdy Fiedor przybiegł, już jego Wasia w pełnym rynsztunku przytracał siodło na koniu i dosiąść go się szykował. Rumiany był i wesoły jak zwykle; owszem, rumiejszy jeszcze i weselszy. Znać było, że powstrzymuje z wysiłkiem głośnie objawy zapału, że gdyby nie wyraźny zakaz, zaśpiewałby „od duszy”, na całe gardło.

Bracia uściskali się serdecznie, choć młodszy unikał wzroku starszego. Ale starszy nie potrzebował mu nic

przebaczać, gdyż o nic go nie obwiniął. „Zmieja” ukąsiła go śmiertelnie w samo serce; pociechą wszakże mu było, że jad nie dosięgnął kochanego brata, że nie jest mu on odebrany i że po dawnemu łączy ich miłość wzajemna.

Już młody huzar dosiadł konia i czekał na komendę, aby pośpieszyć do szeregu, a Fiedor jeszcze stał przy nim i żegnał go, i upominał, i krzyżykami dokoła określał.

Nareszcie dano znak. Wasia puścił konia, rzucając ostatnie:

— Proszczaj, Fieduszka!

Oddział ruszył stępą, człapiąc głucho po rozmięklej ziemi. Jeźdźcy zgarbili się na koniach, wytykając przed siebie ostre czubki baszłyków. Zaraz przy figurze stojącej nie opodał skręcili w prawo, na drogę, która wiła się kretom między zaroślami.

Oprócz Fiedora, stojącego w miejscu i posyłającego za oddziałem westchnienia i krzyżyki,

przeprowadzał go oczami tylko pastuch miejski, który wyganiał bydło w pole, a teraz naciągnął na głowę opończę i patrzył, a dziwił się.

Wkrótce deszcz i mgła całkowicie jeźdźców zakryły.

Przez cały dzień włóczył się Fiedor po ulicach, uliczkach i zaułkach, napędzając strachu dzieciom, przekupkom i straganiarkom, posadzającym go o złe zamiary.

Około południa obojętnie wysłuchał sygnału wzywającego „na krupy”, dławiała go bowiem tęsknota, o jedzeniu myśleć nie mógł.

Po południu zaszedł do Zrzelskich. Do kuchni nie wstępował, lecz udał się prosto do ogrodu, usiadł na trawniku i fajeczkę zapaliwszy, czekał na dzieci.

Deszcz ustał; chłopcy ujrawszy przez okno żołnierza, pobiegli do ogrodu. Leszek nie zapomniał wynieść mu, jak zwykle, wielkiej kromki chleba z kiełbasą. Fiedor podziękował za przysmak, przymówił się za to grzecznie o — cygarko.

— Dwa cygarka, nieprawda? — zapytał chłopczyk, świadomy zwyczajów znajomego.

— Jedno będzie dosyć — odrzekł Fiedor smutno. — Wasi nie ma.

— A gdzie Wasia?

— Ujechał.

— Dokąd pojechał?

Żołnierz zaciął się w odpowiedzi.

— Eh! — mruknął, unikając wzroku dziecka. — Nie nasze dzieło. Kazali, tak ujechał.

— A czy wróci? — nie przestawał dopytywać chłopczyk.

Fiedor ostro spojrział na dziecko.

A co ty? zapytał z gniewem. Myślisz, co Wasia nie wróci?

Nic nie myślę. Pytałem tak sobie.

Nie trzeba mówić słów durnych. Wiadomo, kto ujechał, temu i wrócić trzeba.

Nagle oczy mu zapłonęły jakieś krzywe, złe spojrzenie padło z nich na chłopca.

A ty by może chciał zasyczał przez zęby co by Wasia nie wrócił?

Et, plecie dziś Żelazny jak na mękach! zawołał Leszek, i wykręciwszy się, pobiegł do ojca po cygaro.

Fiedorowi, choć cygaro zapalił, chmura z czoła nie schodziła. Milczał, pod nosem mruczał, na zapytania nie odpowiadał od chwili do chwili wodził po dzieciach wzrokiem, jakim wilki w menażerii przyglądają się publiczności.

Zaledwie dokończył cygaro, szybko powstał, nic nie rzekł do dzieci i na ulicę wyszedł.

Niepokój i nuda oczekiwania nurtowały go, czyniąc niecierpliwym i złym. Wlókł się ulicą ponury, nasrożony; nikomu z drogi nie schodził. Kilkoro dzieci przewrócił, Żydówkę pchnął tak silnie, że wpadła do ścieku; przekupce pieczywa strącił na ziemię kosz z bułkami.

Ustępowali wszyscy przed nim, jak się przed rozjuszonym zwierzęciem ustępuje.

Utkwiło mu w myśli pytanie Leszka — wszystkie jego myśli około tego pytania krążyły. Wyobraził sobie, że te polskie dzieci pożądamy koniecznie śmierci jego brata. Nie mógł pozbyć się tego podejrzenia jak ryba połkniętego haczyka; jak haczyk ostry duszę mu ono szarpało.

Przyjąwszy urojenie za pewnik, myślał, jak wielka tkwiła w tym niesprawiedliwość. Wasia żadnemu z tych dzieci nic złego nie zrobił. Był to „dobry mały”, sam jeszcze prawie dziecko.

Czy zresztą dzieci nie wiedziały, że on, Fiedor, ich przyjaciel, nie ma na świecie całym nikogo prócz Wasi? Życzą śmierci tamtemu, to znaczy, że i jego życie im zawadza. A w takim razie, po cóż były obłudne? Po co przymilały się do niego, nazywając swoim kochanym Fiedkiem, Fiedeczkiem, Fiedeńkiem?... Skąd w takich małych istotkach tyle złości? Zajęty rozwiązywaniem psychologicznej zagadki, nic przed sobą nie widząc, wpadł na gromadkę Żydów, szwargoczącą na rogu ulicy. Żydzi rozprysli się na wszystkie strony w przerażeniu wielkim, ale bez krzyku i protestu, bo w owych czasach mundurowi wszystko było wolno. Tymczasem żołnierzowi wydało się, że dotarł nareszcie do źródła wszystkiego. Dzieci pomyślał idą

ślepo za starszymi. Tak one czują i myślą, jak im ojciec czuć i myśleć każe. Ot, i okazało się, że ten Zrzelski to „ptica”. A „pan Ładysław” druga „ptica”.

Już on wie teraz, co znaczyły różne słowa, półsłówka, spojrzenia, uśmiechy, z którymi spotykał się, zrozumieć ich nie mogąc.

— Ach, zmieji... zmieji... wsie zmieji... — mówił do siebie i zębami zgrzytał.

Zatrzymał się nagle i wykrzyknął głośno:

— Ja by ich wsiech...

Nie dokończył, ręką tylko wymownie zamachnął.

Kilku przechodniów, usuwając się na stronę, rzuciło nań ponure spojrzenie. Szewc, śpieszący do domu z butelką pod fartuchem, osądził:

— Co się panowie dziwita. Przecież to bydlę pijaniuteńkie...

Fiedor, nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie, znalazł się po pewnym czasie za miastem, na drodze, którą Wasia odjechał i którą wrócić powinien.

Zbliżał się wieczór. Deszcz ustał. Na zachodzie, ponad szafirową wstążką dalekiego lasu, rozstały się chmury, i słońce, wedle ludowego wyrażenia, „obejrzało się”.

Ku temu słońcu i ku temu lasowi szedł Fiedor, jak zahipnotyzowany. Idąc, skracał przestrzeń, dzielącą go od Wasi, a myśl o tym uspokajała go stopniowo. Powoli zniecierpliwienie i złość ustępowały z jego duszy. Poczynał rozważniej i pogodniej na rzeczy patrzeć. Czuł, że gdy ujrzy powracającego Wasię, pozbędzie się natychmiast wszelkiej nienawiści i pogodzi z dziećmi, ich ojcem, panem Władysławem ze wszystkimi. Zatopionego w myślach zatrzymała pikieta. Uzbrowo

jony żołnierz krzyknął, że dalej iść nie wolno. Była to ostatnia z linii strategicznych opasujących miasteczko. Fiedor z żalem powrócił. Nie odszedł jednak daleko. Przy drodze był rów głęboki — wsunął się doń, na mokrej trawie położył i czekał.

Czekał długo, zapadłszy w odrętwienie dziwne, które go prawie kamieniem uczyniło.

Ale kamień stał się na powrót człowiekiem, gdy nagle, wśród zupełnej już ciemności, ozwała się w oddaleniu dzika pieśń żołdacka.

Wyszedł z rowu, stanął na drodze, słuch i wzrok w stronę pieśni wyteżył.

W kilka chwil później, w mniejszej już odległości, zawarczały bębny, którym towarzyszył wrzaskliwy głos piszczałki.

Drgnął i biec począł naprzeciw nadchodzącym. Wkrótce zrównał się z nimi.

Szeregi piechoty minęły go, nie widząc. I on też nie patrzył na nie. Jednak uderzyła go postawa

żołnierzy, zgoła nie taka jak rano. Szli ciężko, przygarbieni, z głowami zwieszonymi, znękani widocznie, z sił opadli. Wielu miało zatknięte za bagnety jakieś przedmioty, których w ciemności nie można było rozpoznać.

Gdy nadjechała kawaleria, Fiedor ręce do jeźdźców wyciągnął.

Wasia! a Wasia! wołać zaczął. Głos jego, czuły i smutny, przywodził na myśl matkę wiejską, która o zmroku chodzi po polach zabłąkanego dziecka przyzywając.

Pierwszy szereg jeźdźców minął go w obojętnym milczeniu; drugi zwrócił nań spojrzenie roztargnione; trzeci odpowiedział na wołanie litościwym wzrokiem; w czwartym jeźdźcy pochyłili się ku sobie i coś niewyraźnie zaszeptali.

Dopiero z piątego szeregu wypadło słowo jedno, krótkie i ciche, które nie sprawiło więcej hałasu niż kulka stożkowa, gdy serce przebija...

Następne szeregi zaczęły tym słowem rzucać głośno. W ustach każdego wołającego ono zmieniało się w ostry nóż. Nożów tych były setki, wszystkie zaś uderzały prosto w pierś Fiedora.

Wyminął go wreszcie cały oddział, wyminęły ciągnące za nim długie, kryte, czarne wozy, a to słowo dziwne, tysiącnie i milionowo rozmnożone, nie przestawało brzęczeć, dzwonić, szeleścić w powietrzu.

Wszystkie drzewa przydrożne i wszystkie na tych drzewach liście, i każdy kamyk na drodze, i każda kropla wieczornej rosy, i każde źdźbło trawy na łące mówiły wyraźnie do ucha samego:

— Ubit!

I echa dokoła powtarzały:

— Ubit! ubit! ubit!...

Fiedor zrobił jedną i drugą ręką taki ruch, jakby chciał odegnąć nacierającą nań gromadę drapieżnego ptactwa. Potem pobiegł pędem do miasta.

Błoto i żwir rozpryskiwały się pod jego stopami. Kilkakrotnie potknął się i upadł. Raz wywrócił się na kupę kamieni, twarz i ręce sobie poranił. Biegł jednak pędem, bez wytchnienia, bez pamięci.

Oparł się dopiero w szynku Ryżego Czorta za mostem.

Dopijał już tam pękata butelkę gorzałki, gdy na chwilę wróciła mu przytomność. Przypomniawszy sobie, że nie ma pieniędzy.

Przywołał szynkarza wręcz mu to oświadczył.

Żyd popatrzył na niego spode łba.

Niciewo zaszepelił. U ciebie tera niet ko

piejek, a zawtra ty moześ miec ruble i dukaty. A nie budzie u ciebie dzieneg, tak najdzieś srebny ili zaloty dasy. A popadnie tobie ładne kalco

ili ciepocka, ili co niebącz śrebnawo ili złotawo, tak pryniesi. Ja wsio wezmę i gorielki dam kriepkiej, chorosiej. Niciewo, ziemiak, niciewo! Więc Fiedor, z zupełnym już spokojem, pił a pił, a pił...

Zaraz nazajutrz urządzono powtórny wyprawę.

Należał do niej i Żelieznyj.

Stanął w szeregu pijany, ale znać tego po sobie nie dawał. Trzymał się prosto i sztywno; wydawał się Herkulesem w szynelu. Twarz jego miała wyraz dziki i nieubłagany; pod nasuniętymi brwiami małych oczu prawie wcale widać nie było.

Kto by zajął w te dwie ciemne głębkie, cofnąłby się z przestachem. Śmierć z nich wyzierała.

Oddział powrócił wieczorem z pieśniami i muzyką. Żołnierze za ledwie złożyli broń i tornistry, rozbiegli się po mieście.

Najlichniesz kompania udała się, jak zawsze, do Rudego Diabła.

Znajdował się w niej i Żelieznyj.

*

O szarej godzinie przyszła do Zrzelskich Szmugłowa, garbata Żydówka, handlująca używaną odzieżą. W dużej płachcie miała pełno starych spódnic, kaftanów, surdutów, dziecinnych sukienek...

Zrzelska przerzucała wszystko obojętnie, żadnej chęci nie objawiając do kupna.

Szmuglowa sięgnęła do samego dna płachty — wydostała stamtąd dziwny przedmiot, czerwony i rogaty.

— Może godne państwo to kupi? — spytała. Zrzelska wzięła ów przedmiot do ręki, ku oknu podeszła, aby go lepiej obejrzeć.

Nagle krzyknęła, trzymany przedmiot upuściła, i bliska omdlenia, osunęła się na krzesło.

Mąż podbiegł z drugiego końca pokoju, gdzie od godziny palił cygaro po cygarze w milczeniu i smutnej zadumie.

— Co to? co się stało? — zawołał, ujmując żonę za obie ręce.

Zrzelska, z twarzą pobladłą, która w mroku wydawała się kredowobiałą, wskazała oczami przedmiot leżący na podłodze.

Podniósł go, do okna przystąpił — długo, długo wpatrywał się weń w osłupieniu...

Wreszcie obrócił się do Żydówki:

Skąd masz tę czapkę? spytał.

Na ulicy kupiłam; od jednego pijaka kupiłam. Niech godny pan kupi, sprzedam niedrogo. Un miał jeszcze fajny zegarek i pierścienie złociste, ale wszystko przepił u tego rudego, kole mostu.

Zrzelski nic nie odpowiadał, zajęty rozpatrywaniem plam na czapce, które w półświatle mrącego dnia wydawały się czarnymi.

Tego pijaka ciągnęła Żydówka to nawet godne państwo zna. Un tu często przychodził, z dzieciarni się bawił...

A!

Było już po północy. Światła od dawna pogaszono. W miasteczku panowała głęboka martwa cisza.

W pobliżu mostu otwarto nagle z hałasem drzwi szynkowni. Przez chwilę słyhać było szamotanie, połączone z przytłumionym wyciem i wrzawą licznych, szwargoczących głosów. Potem wypchnięty został na ulicę pijany żołnierz — drzwi na powrót zatrzaśnięto.

Zgrzytnął klucz, zatrzaśnięto rygle, zadzwoniła kłódka — wszystko zapadło w poprzednią ciszę.

Żołnierz stał przez chwilę w miejscu, potem zaczął iść, a raczej suwać się w stronę mostu. Chód jego był ciężki, kamienny; sam on wydawał się jak z kamienia. Nie zataczał się, na kształt zwykłych pijaków, lecz sunął sztywno jak kataleptyk.

W chwili gdy wstępował na most, spoza czarnego, nadbrzeżnego śpichrza wysunął się brzeżek tarczy księżycowej. Srebrne światło drasnęło ukośnie powierzchnię rzeki i deski mostu. Fale i most wystąpiły nagle z cienia jakby za podniesieniem zasłony.

Jasna, wąska smuga, ostro wykreślająca się w mroku, wyglądała jak gościniec srebrem nabijany, z

ziemi do nieba wiodący.

Żołnierz, wstąpiwszy w smugę, zatrzymał się olśniony i po raz pierwszy od wyjścia z szynku zatoczył się. Potem zamiast iść dalej, w mrok, poszedł w kierunku smugi. Doprowadziła go ona do poręczy mostu. Stanął osłupiały wzrok na wodę obrócił.

Fale, łuską srebrzystą potrząśnięte, pełne były ruchu, życia, głosów.

W wirującej i pryskającej pianą głębinie coś płakało, coś się skarżyło, przyzywało.

Zaledwie żołnierz do poręczy przystąpił, wybiegły stamtąd szepty:

Isz ty... isz ty... isz...

Przechylił się przez poręcz, aby lepiej słyszeć.

Głębina zaszepiała czule, pieszczotliwie, głosem rodzonego, nad wszystko ukochanego brata:

— Fieduszka... duszka... duszka... duszka...

— Wasia! a Wasia! — wybełkotał z trudnością. Przegiął się bardziej jeszcze przez poręcz i równowagę stracił...